

Maciej Głowacki

Marsz solarny

Redakcja i korekta: Weronika Jaśkiewicz

Łamanie i skład: Wojciech Dąbek

COPYRIGHT BY MACIEJ GŁOWACKI 2020



Wrocław 2020

– O czym będziesz śnić?

Chłodzenie konsoly sterowania zaszumiało cicho. Komandor Adam Leniart zapatrzył się w obłędny pejzaż miliardów gwiazd rozspanych w obracającym się kopcu kolorowych obłoków, przeplecionych barwnymi formacjami gęstych mgławic.

Sztuczne okna pozwalały na moment zapomnieć o przygniatającej obecności zimnego i przede wszystkim pustego kosmosu. Tam na zewnątrz były tylko przemykające gwiazdy, z przodu niebieskie, z tyłu czerwone, wszystkie tak samo niegościnnie, zbierające wokół trupiarnie szarych, skalistych planet.

– O chorze – odpowiedział po chwili kapitan.

– Ty? Naprawdę? – zaśmiała się Ewa, odchylając fotel do pozycji leżącej. – Nigdy nie miałam cię za śpiewaka. No, ale komora hibernacyjna chyba nawet z tobą da sobie radę.

– Bardziej myślałem o roli dyrygenta, ale dobrze wiedzieć, co uważasz o moim głosie. W sumie to nie umiem hibernować i śnić o niczym jak niektórzy. Pięćdziesiąt lat rajy nie brzmi wcale tak kusząco, gdy się zastanowisz. Bo przecież i tak pasażerowie będą musieli się obudzić na Keplerze, a co wtedy? Depresja pohibernacyjna? Przypomnienie sobie prawdziwego życia i powrót do przykrych realiów. Boże, nawet nie chcę myśleć, co będzie, jak pięćdziesiąt tysięcy osób sobie przypomni o tym, co zostawiliśmy za sobą.

– Cicho... Nie teraz – mruknęła kapitan, przewracając się na swoim fotelu. – Nie chcę teraz o tym myśleć. Myślałam o Ziemi prawie pół wieku, jestem zmęczona, mam dość.

Leniart zamrugnął w zaskoczeniu i uśmiechnął się nagle. Kątem oka wyłapał delikatną, zieloną poświatę wyświetlacza.

– Hej! Jest nowa butelka – odezwał się ochoczo, prostując plecy i przeciągając okienko wiadomości na środek wyświetlacza. – Tak, to znowu nasz poeta.

– Pokaż, pokaż! – Ewa zerwała się żywo i siadła na skraju fotela.
– Elizabeth, wykryj język i odczytaj.

Pozorowana inteligencja odezwała się po chwili miękkim i przyjemnym dla ucha, kobiecym głosem:

Marsz solarny

Nie bolą mnie nogi

Nie ciąży mi plecak

Nie wieje na mnie wiatr

Nie grzechocze ziemia

Mknę przez nicość

W nadziei na błękitny horyzont

Tylko oddech i gwiazdy

Mój marsz solarny

– Z każdym następnym jest coraz bardziej optymistyczny – powiedziała z uśmiechem kapitan, powiększając okno wiadomości, by przeczytać wiersz tym razem sama.

– Mógłby się nauczyć rymować. – Leniart wzruszył ramionami, masując się wzdłuż karku aż do pleców. – Może też zacznę coś pisać.

– To jest wiersz biały, nie musi się rymować.

– Jak widać, nie musi być też dobry.

– Mów co chcesz, Polonia lubi takie rzeczy, jakkolwiek niewielka by nie była. Szkoda tylko, że nie możemy mu odpowiedzieć. Miesiąc świetlny przewagi nad nami... Kto wie, może to nawet jakaś jedynka z zarządu pisze?

– Ta, weź takich bzdur nie mów. Pewnie jakaś trójka niebieskokołnierzasta i tyle. – Komandor uśmiechnął się po chwili i przeciągnął z zadowoleniem. – No, ale oczywiście, że powiemy mu, jak wylądujemy. W końcu to musi być całkiem przyjemne uczucie, prawda? Mieć posłuch i w ogóle, to, że ludzie chcą wiedzieć, co uważasz.

– Ja chcę wiedzieć, co uważasz – dodała Ewa.

Leniart obrócił się, zlustrował oficerski mundur koleżanki i pokręcił głową, szczerząc się przy tym.

– Uważam, że... Dobrze cię mieć tutaj, tak po prostu. Pięćdziesiąt lat w drodze, cholera, ale to minęło.

– No i trafiła nam się ostatnia zmiana razem. Jeszcze ponad miesiąc razem, chyba już nas nie zmienią przed tym, prawda?

– Nie pozwolę na to, spokojnie. Już wystarczy, że ostatnio rok spałem przed kolejną zmianą. Chcę być świadomy, gdy zobaczymy tę błękitną kulkę wody za prawdziwym oknem, a nie za ekranem. – Komandor nagle zamilkł, odchrząknął i odezwał się na nowo. – Elizabeth, wyłącz ekran i sztuczne wyświetlanie.

Gigantyczna, najeżona oknami aplikacji ściana zmieniła się w przezroczystą szybę, za którą błyskały pojedyncze gwiazdy, zatopione w całkowitej, nieprzeniknionej czerni.

Dwójka oficerów zmarkotniała zaraz – rzeczywistość mocno odbiegała od wyobrażeń, do których miały ich przekonywać sztuczne pejzaże. Realia na okręcie kosmicznym przypominały te, jakich doświadczali marynarze w łodziach podwodnych. Funkcjonowanie w sztucznym,

dwudobowym zegarze dziennym i mijanie się z osobami, które spały, gdy inni wstawali i na odwrót.

– A ty – odezwał się po chwili smutniejszy komandor – o czym będziesz śnić?

Kapitan skuliła się lekko, położyła sobie dłoń na ramieniu i spoglądając z ukosa, powiedziała cicho:

– O dziecku... Dzieciach jak zwykle. – Nagle jednak pokręciła głowę i zmusiła się do uśmiechu. – Wybacz, miałeś prawo zapytać, to ja po prostu nie umiem sobie z tym poradzić. Szkoda, było na to sporo czasu, może nigdy się nie naprawię.

– Mamy terapeutów na okręcie, może kiedyś powinnaś iść?

– Nie, niech zajmują się prawdziwymi problemami. Zresztą, czytałam w ogóle takie śmieszne statystyki pokładowe... Wiesz, kto najmniej hibernuje?

Komandor zastanowił się na chwile i pomyślał nad tysiącami osób, pogrążonymi w pięknych snach, mających ułatwić międzyplanetarną podróż. W pierwszej chwili przyszli mu do głowy jacyś smakosze – w końcu jak człowiek śpi, to nie może jeść – ale szybko zbył tę myśl jako niemądrą. Po chwili zastanowił się nad ochroniarzami, ale to też nie miało sensu, bo incydenty zdarzały się rzadko, wszędzie roilo się od maszyn strażniczych, a tak zwane dwójki – departament bezpieczeństwa, miały określone warty na pięćdziesiąt lat wprzód. To może jedyne, wierchuszka, prezesi, zarząd, menedżerowie, ale nie, ci raczej woleli przespać całą drogę, pogrążeni w sennych marzeniach, by potem obudzić się w swoim podobnie rajskim życiu na nowej, prywatnej planecie.

– Pewnie trójki, jacyś usługowi na najniższej pensji – odpowiedział po dłuższej chwili Leniart, ale szybko zwątpił, nie widząc u Ewy żadnej aprobaty.

– Nieee... Księgowi – powiedziała w końcu.

– No tak. – Komandor klepnął się w czoło, zjechał dłonią na nos i westchnął głęboko. – Jezu, w ogóle nie myślę. Mam po prostu jakąś... maziąją gęstą w głowie.

– Kosmos czy nie, ale tabelki muszą się zgadzać. Wiesz, że nawet wysyłają sygnałem radiowym wyliczenia do filii na Ziemi?

– Po co? – spytał komandor i dostrzegł na twarzy Ewy grymas goryczy. Już żałował, że w ogóle spytał.

– Bo nawet jeśli cała twoja pensja za podróż idzie do kogoś na Ziemi, to mają prawo ją cofnąć lub wręcz z niej potrącić, jeśli zrobisz coś niewłaściwego. Wiesz, złamiesz prawo, nie chcesz pracować, nie poddasz się hibernacji lub odwrotnie, nie wstaniesz na swoją wartość. Twoja rodzina i bliscy mogą ponieść konsekwencje...

– Na taką miłość nas skazali...

– Taką przebodli nas ojczyzną – dokończyła Ewa z niesmakiem. – Żeby zaczynać kolonizację od przeniesienia tego, co najgorsze, kurwa mać.

– Przeszkadzam? – odezwał się nagle nowy, głęboki głos z końca kabiny pilotów, pytając po angielsku.

– Przepraszam, w ogóle cię nie zauważyliśmy – odpowiedziała spłoszona kapitan, przekręcając się w fotelu.

– Ja słyszałem. – Wzruszył ramionami komandor. – Po prostu nie chciałem przerywać. No co tam, Samuel, coś się stało?

Śniady mężczyzna z pomarańczowymi oznaczeniami, właściwymi inżynierom pokładowym, pokiwał głową bez słowa i wskazał za siebie.

Komandor odpowiedział skinieniem, nacisnął kilka razy na dotykowy ekran i zawarł grube, tytanowe drzwi, izolujące kabinę od wszystkiego, co działo się poza nią.

– Straciliśmy kontakt ze Smokiem – rzucił krótko inżynier, pochylił się między dwoma fotelami i zaczął wystukiwać coś na ekranie. – Zaloguję się na swój profil w wirtualnej maszynie, to wam pokażę.

Samuel lustrował przez moment inteligentnym i spokojnym spojrzeniem ekran, po czym odchylił się i jakby z lekką pogardą wskazał palcem przed siebie.

– To – powiedział i zacisnął usta, aż posiniały.

Na ekranie widniała tabela odczytów, która przez ostatnie lata zbierała wszystkie sygnały od okolicznych okrętów. Część kolonizacyjnych statków leciała w bardzo niewielkiej odległości w skali kosmicznej i z prędkością bliską, ale nie równą prędkości światła. Dlatego fale radiowe w próżni mogły dogonić inne, lecące z podobną prędkością okręty, a nawet odsluchiwać ich wiadomości. Proces ten trwał różnie w zależności od tego, między którymi okrętami odbywała się komunikacja. W końcu nie wszystkie wyruszyły z Ziemi naraz po dokładnie tej samej trajektorii.

Cała trójka spoglądała na zapisy ze Smoka – gigantycznego, chińskiego okrętu, który niósł ze sobą sto tysięcy dusz, wyselekcjonowanych, wykształconych i spełniających najwyższe standardy systemu zaufania społecznego. Teraz ten kolos, zazwyczaj nadający mnogość programów, rządowych komunikatów i zebranych danych, był całkowicie cichy, zimny. Nadal leciał po tej samej trajektorii, wciąż czekał go blisko miesiąc wędrówki do Keplera, jednakże na jego niemożliwym do spenetrowania pokładzie, mogło odbywać się coś zgoła innego, bardziej żywiołowego.

– Jeśli teraz nie mamy od niego komunikatów, to znaczy, że kiedy przestali je nadawać? – spytał Komandor, wertując listę z pozostałymi okrętami kolonizacyjnymi, należącymi zarówno do państw, jak i prywatnych podmiotów, tak jak i oni.

– Sygnał radiowy to osiemnaście godzin różnicy. Oznacza to, że cokolwiek się stało na Smoku, musiało się wydarzyć na osiemnaście godzin przed otrzymaniem przez nas ostatniej wiadomości – odpowiedział Samuel, skubiąc się za koniec nosa. Zapewne w głowie po raz dziesiąty przerabiał ten sam tok myślowy, który teraz przeprowadzali piloci. – Mnie jedynie martwi, że ucichli tak nagle i całkowicie.

– Masz jakieś przypuszczenia?

– Możemy jedynie domyślać się, co się nie stało. Na pewno w nic nie uderzyli, bo mielibyśmy jakikolwiek komunikat. To na pewno nie jakieś wewnętrzne uszkodzenie jednego systemu, bo na tym gigancie musi być chociaż jeden awaryjny system komunikacji. Z kolei, gdyby stało się coś drobnego, to raczej nadawaliby dalej i udawali, że nic się nie stało. To może oznaczać...

– Że celowo zerwali komunikację? – dokończyła pytaniem Ewa.

Samuel mruknął minimalnie zirytowany, że sam musiał referować wydarzenia, lecz zabrano mu prawo do puenty. Mimo to przytaknął powoli i zmęczonym spojrzeniem zlustrował dwójkę oficerów, po czym przerwał niewygodną ciszę:

– Czy mamy zamiar coś z tym zrobić? To pytanie już kieruję do was, ale raczcie nas poinformować wcześniej. Wieści szybko się niosą, zwłaszcza na Desmondzie.

– Będziemy obserwować, przynajmniej na razie. Zrób u nas kontrolę i sprawdź, czy zapasowe części i komponenty zamiennie funkcjonują poprawnie.

– Wszystkie? – spytał Samuel, a jego twarz po raz pierwszy wyraziła dostrzegalną emocję: zdziwienie. – Co mam niby z nimi zrobić? Odpakować z folii, podłączyć, sprawdzić, czy działa, a potem zapakować z powrotem?!

– Czyli sam wiesz.

Inżynier pokręcił głową z niedowierzaniem, przeszedł się dwa kroki i zaczął gestykulować żywo.

– To potrwa tygodnie, a jesteśmy prawie na miejscu!

– Właśnie dlatego, że jesteśmy prawie na miejscu, nie możemy sobie pozwolić na żadną awarię. W końcu za to macie płacone, prawda?

– Komandor obrócił się nagle i zwrócił do wyciemnionego ekranu. – Elizabeth, wpisz do harmonogramu pełną kontrolę funkcjonalną systemów na wszystkich poziomach.

– Zabiorę się za pracę – wycedził przez zęby Samuel. – Bo jak nie zaczniemy tego teraz, to na Kepler dolecimy w stanie agonalnym.

Inżynier obrócił się na pięcie i machnął dłonią do kamery. Elizabeth otworzyła masywne wrota i wypuściła Samuela w znacznie gorszym stanie, niż gdy przychodził. Po krótkiej chwili zasyczały skryte w trzewiach okrętu siłowniki i pomieszczenie znów zostało całkowicie odcięte.

– Kązesz mu wyrabiać zbędne dupogodziny – odezwała się Ewa po polsku. – Ludzie i tak są podekscytowani końcem trasy, a ty chcesz im jeszcze dokładać awarię infrastruktury. On będzie tam teraz siedział z resztą departamentu technicznego i każdą pierdołę sprawdzał, a pewnie i tak nie znajdzie.

– Jest na tym okręcie tylko dzięki łasce HR-owców Desmonda. Dosłownie wsiadł na okręt, który zabierze go do raju, chyba pro...

– Dobrze, nie krzycz...

– Chyba proszenie go o wypełnianie swoich zadań nie jest wielką krzywdą?! – dokończył mimo wszystko komandor. Odruchowo miał już uderzyć dłonią w konsolę, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Proszę o pozwolenie na wyjście – odezwała się z trudem Ewa.

– Zezwalam – rzucił krótko Komandor.

Kobieta wyszła niepewnym krokiem, zostawiając przełożonego po-
grążonego w ciemności kabiny pilota.

Adam chwycił się jedną dłonią za drugą, drżącą, jakby nad nią nie
panował. Po serii głębokich oddechów odchylił się w fotelu i zamrugał po-
woli. Na jego twarzy odbiło się skrywane do tej pory zmęczenie, dookoła
powiek zdrzała cienka skóra i ciemne zmarszczki, pamiątka po nieprzespa-
nych nocach i niepowetowanych dyżurach.

– Elizabeth, zagraj powoli.

Kabinę wypełniły ciche, pojedyncze uderzenia w klawisze fortepia-
nu. Adam odpłynął w mrok, oczyma wyobraźni próbując przebić poszycie
kadłuba i zanurzyć się we wszechogarniającym, zimnym niebycie kosmosu.

* * *

Adam nachylił się przez balustradę i obejrzał po centrum rekreacyj-
nym Desmonda. Dojrzał setki osób ubranych w monochromatyczne mundu-
ry z drobnymi, unikatowymi wstawkami w postaci kolorowych naszywek.
Choć reguły odnośnie do ubioru i przynależności klasowej były jasno okre-
ślane w umowie przewozowej, to wciąż można było wyróżniać się w ra-
mach obowiązujących zasad. Często o odrębności świadczyły zatem sposo-
by sznurowania butów, zagięcia materiału, a zwłaszcza tatuaże.

Wspaniały, przeszklony sufit pozwalał na oglądanie reszty gigan-
tycznego pierścienia mieszkalnego, obracającego się wokół głównego mo-
dułu sterowniczego. Soczysta zieleń zadbanych ogrodów i bogactwo barw-
nych straganów gastronomicznych sprawiały, że można było choć przez
chwilę poczuć się jak w zwyczajnej, ziemskiej galerii handlowej.

Mimo wszystko na okręcie zawsze panowała samotność – nietypo-
wy, nowy rodzaj samotności. Przypominał on poczucie utraty kontaktu

z dawnymi rówieśnikami ze szkoły, w miarę jak upływające lata zmieniają życiorysy i wyodrębniają ścieżki losu. Na tej zasadzie pasażerowie czuli się wiecznie wyizolowani, ze względu na rozstrzał w harmonogramach między cyklami hibernacji. Nieraz bliscy przyjaciele, którzy pracowali w tych samych obszarach, potrafili się nie widzieć przez lata, gdyż ich harmonogram był zaplanowany tak, by jedna osoba pracowała kilka miesięcy, a druga w międzyczasie spała.

Okrągłe, automatyczne odkurzacze jeździły stale między nogami przechodniów, próbujących przeżyć w tej niezręcznej samotności. Automatony nieustannie uderzały o coś, gdy tylko program omijania przeszkód nie nadążył za zmianami w otoczeniu i zamiast na stopy przechodnia wołał nakierować maszynę na zderzenie czołowe z doniczką zielonej palmy. Odkurzacze wydawały z siebie piskliwy głosik, jego wyświetlacz pokazywał na moment przerysowaną, kreskówkową emotikonę krzywdy, a następnie chłodny, nieczuły procesor wyliczał dalszą trasę czyszczenia.

Wiele osób jeszcze setki lat wcześniej wieszczyło, co przyniesie przyszłość. Najczęściej obawiano się, że sztuczna inteligencja przerośnie twórców, a ludzie postanowią źle traktować roboty i androidy, wywołując tym samym bunt artefaktów. Fakty były jednak takie, że po latach w Europie większość rodzin wolała mieć psa lub zabawny odkurzacz niż dziecko. Nawet lodówki podłączone do internetu były traktowane jak małe, upośledzone, sztuczne inteligencje, zasługujące na pogłaskanie.

Komandor spojrział daleko w dół, aż na samo dno deptaka pod kilkoma piętrami balkonów. Wśród idealnie dobranej i wyprażonej ziemi rosły ostatnie drzewa, zabrane z Ziemi ledwie w formie sadzonek. Dokładnie pielęgnowane, naświetlane, nawadniane i doglądane przez zastępy dronów ogrodniczych.

Mknące przez dodatkowo natlenione powietrze helikopterki syczały i szurały wesoło jak pszczoły, pracując bez przerwy nad tym, by sztuczny Eden kwitł regularnie, ale nigdy prawdziwie nie zaowocował. Wszystko musiało mieć swoje stabilne, jasno wyznaczone granice, których należało nie naruszać przez pół wieku. Mieli w końcu tylko jedną szansę, nie mogli sobie pozwolić na żaden błąd. Dlatego ludzie na okręcie robili niewiele, niektórzy wręcz nic. Jeszcze gotowi w swojej pochopności lub niedbałości zniszczyć ostatnie ślady flory, nie umiając zadbać nawet o te jedyne skarby zniszczonej przeszłości.

Większość przechodniów stanowiły trójki – szeregowi pracownicy, zabrani z Ziemi w zamian za dożywotni kontrakt pracy i zasiłek pieniężny dla rodzin pozostawionych na planecie. Dla wielu z nich to była jedyna szansa, by zapewnić bliskim byt w dogorywającym świecie, gdzie dostęp do żywności dawno przestał stawiać ludzi przed wyborem „co jest?”, a zaczął „czy jest?”. Regularnie można było spotkać przyozdobione błękitem dwójki – służby ochrony i porządku oraz pilotów takich jak Leniart. Najrzadziej, a właściwie to nigdy, można było spotkać jedynek. Zarządcy, inwestorzy i kadra kierowania strategicznego z udziałami w firmie Priela Desmonda, posiadali pewien teoretyczny procent okrętu o analogicznej nazwie. Jako że ich jedyne zadanie ograniczało się do myślenia o tym, co mają robić i jak zarządzać swoim majątkiem, to mijał pięćdziesiąty rok, odkąd wszyscy zarządcy spali, pogrążeni w wiecznym raju. Wybudzenie jedynek miało być momentem symbolicznym, przełomowym, oznaczającym początek ery kolonizacji i lądowanie Desmonda na Keplerze 9d.

Adam kichnął nagle, wytarł nos w odsłoniętą dłoń i pokręcił głową z niedowierzaniem. Po jego twarzy przemknął grymas złości i zawiści. Bo przez krótki moment – jeden drobny wycinek rzeczywistości – myślał, że jest jedyką. Że jest najwyższym rangą z nieśpiących. Dowodził tak dłu-

go, jak panowie spali. Wtedy to on był panem. Rządził chłodnym, wyoblo-
nym, przeszklonym kamieniem, niosącym tysiące śpiących ludzi przez nie-
czuły niebyt kosmosu.

– Mogę mówić? – spytał wysoki, łysy ochroniarz, stając za plecami
komandora.

– O, Bociek, wybudzili cię? – odpowiedział pytaniem zdziwiony
oficer, po czym wznosił dłoń na przywitanie.

– Tydzień temu. – Dwójka w szkarłatnym mundurze wzruszyła ra-
mionami, pogrzebała w uchu i rozejrzała się, jakby nie była pewna tego,
gdzie się znajduje. – Zauważyłem pewną rzecz w czasie oglądania przekazu
na żywo od jakiegoś Hindusa.

Komandor zmrzął oczy zniesmaczony, na co Bociek skrzywił się
i poprawił:

– No od cyberbezpieczeństwa, taki Hindus... Taki vloger jakby,
no nieważne.

– Masz szczęście, że nie jestem na służbie, wiesz jak je...

– Wiem, wiem, ogarnę. – Ochroniarz podrapał się po gładkiej poty-
licy i jakby na moment stracił wątek. Dopiero po dłuższej chwili zdołał się
ponownie odezwać. – No więc poszła fama na parafii, że któryś z czerw-
nych zanurkował.

Adam zmielił przekleństwo w ustach. Nie chciał dawać po sobie po-
znać, że wie, o czym mowa, a co więcej, że jest czym się martwić. Mimo to
zgodnie z przewidywaniami zamilknięcie Smoka, o którym mu doniesiono
dwa dni wcześniej, musiało już zwrócić na siebie uwagę bardziej wyczulo-
nych i zainteresowanych pasażerów.

– Jak tak mówisz – odpowiedział wymijająco komandor i zaczął iść
przed siebie powoli, rozglądając się od niechcienia.

– No tak, wszyscy już o tym mówią – dodał Bociek, idąc za pilotem.
– To prawda, że ma być wojna? Ludzie gadają, że planują wylądować na Keplerze przed nami, a tam ponoć już chińskie kolonie, bazy wojskowe, rakiety nakierowane na okręty: prywatne, europejskie, amerykańskie i...

– Kto gada? Jacy ludzie? Jaka wojna? – wysyczał Adam, przewracając oczami. – Bociek, ku... Proszę cię, serio, nie jestem w nastroju. Jesteśmy na finiszu, mam roboty po pagony, a ty zaczynasz szurać, że Chińczycy szykują się do wojny. Nie było wojny z Chinami nigdy, rozumiesz? Przez ponad sto lat nie byliśmy w wojnie z Chinami.

– Indie były – mruknął ochroniarz, drapiąc się za uchem.

– My nie jesteśmy Indiami.

– No nie... – Bociek zatrzymał się na moment, po chwili dobiegł do nieustannie maszerującego Adama i niemalże potknął się o odkurzającego robota. – Tylko zaraz, Leniart, znaczy, szefie, bo z całym szacunkiem... I w ogóle... To o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie nasza sprawa – warknął oficer.

– I co, zostawimy to tak? A jak się nie odezwą aż do lądowania? O co z tym chodzi w ogóle? Tam nawet jedno radio nie gra!

Leniart stanął jak wryty, wznosił dłoń i krzyknął:

– Dość!

Kilka trójek obejrzało się na nich zaspanym wzrokiem, jakichś dwóch strażników zaczęło iść wartkim krokiem w kierunku gapiów, ale Leniart machnął na nich, by nie zawracali sobie nimi głowy. Po kilku głębszych oddechach oficer położył dłoń na ramieniu wyższego od siebie Boćka i zacisnął palce, jakby nie mogąc się powstrzymać.

– Rozumiem, będę obserwował, koniec tematu.

Bociek zmrużył oczy, obejrzał się dookoła i po prostu skinął głową bez odpowiedzi, po czym ruszył w przypadkowo obranym kierunku,

z którego zaraz zawrócił. Po krótkiej chwili przechodnie ponownie ruszyli swoją trasą i Adam został sam pośród podobnych, obcych twarzy posłusznych dwójek i obojętnych trójek.

Wtem ekrany służące za sufit wyciemniły obraz kosmosu. Po chwili rozbłysły jasnym, niebieskim tłem, na którym widniała zwielokrotniona figura siwego, białego mężczyzny. Adam spojrział na całkowicie generyczną i łatwą do zapomnienia twarz, należącą do Priela Desmonda, jednego z najbogatszych ludzi na Ziemi, a właściwie to już nawet w całym wszechświecie.

Reklama puszczana regularnie co dobę wpierw wydawała się dosyć kojącą i zabawną agitacją firmową, lecz po latach podróży międzygwiazdnej stała się powtarzalną, nudną mową-trawą, trwającą blisko dziesięć minut.

Komandor ze znużeniem spoglądał na sztucznie poprawioną w postprodukcji twarz właściciela okrętu, którego cyfrowa wersja z uporem godnym lepszej sprawy powtarzała od lat wszystkie cele misji kolonizacyjnej. Misji, której znajomość w najmniejszych szczegółach była obowiązkiem każdego pracownika, podróżującego na Kepler. Z jakiegoś powodu zarząd uznał, że pełna uogólnień i banalnych animacji historyjka będzie niezbędna, by podtrzymać lojalność i morale załogi. Tymczasem załoganci przyzwyczaili się do reklamy tak bardzo, że potrafili nawet nie zauważyć, że właśnie się zaczęła i skończyła.

Mimo to warto, pomyślał Adam, mimo całej infantylności, banału i kiczu warto było się sprzedać i wsiąść. Warto było w tak nieciekawym i błahym sposobie uratować ludzkość. Tam na Ziemi i tak już nic nie było. To po co o tym w ogóle myśleć? Nie dało się przecież dogadać z wszystkimi ludźmi, by współpracować, więc pozostało tylko uciekać. O wiele łatwiej jest zbudować pełnowymiarowy okręt do kolonizacji międzygwiazdnej, niż poprosić matki, by karmiły dzieci trochę mniej. Przynajmniej nowa planeta będzie

lepszą, tylko to się liczy, że będzie łatwiej i dzięki temu się uda. Tyle dobrego, że cała historia nauczyła czegoś ludzi i misja została zaprojektowana, jak przystało na wielobilionową inwestycję. Wyselekcjonowani członkowie załogi, kolejność osiadania, zapasy na start, a potem już tylko samowystarczalność i spokój. No nie da się tego zepsuć, po prostu nie da. Dziesiątki okrętów, łącznie miliony osób lecące z różnych miejsc po różnych trasach. W końcu ktoś doleci, a to naprawdę wystarczy.

Nagle odezwał się melodyjny dźwięk skrzypiec – fabrycznie ustawiony dzwonek bransolety, której kształt z czasem zastąpił większość smartfonów.

– Odbierz, halo? – rzucił jednym tchem Adam, wiedząc, że software przez lata nauczył się doskonale rozróżniać jego głos i intencje.

– Potrzebuję cię na mostku, nie mogę mówić przez łącze – odpowiedziała kapitan.

– Coś poważnego?

– Nie mogę mówić przez łącze...

– Rozumiem, idę, rozłącz rozmowę.

Komandor obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku tak zwanej miękkiej sterowni. Kokpit pilotów nie znajdował się nawet na żadnym dziobie okrętu, a gdzieś z boku, wciśnięty jako przybudówka. Okazało się, że projekty zaczerpnięte z samolotów miały niewiele sensu w przypadku kosmicznych podróży, więc nie było powodu do umieszczania pilotów na dziobie okrętu. Właściwie to nawet sama nazwa „miękka sterownia” oznaczała miejsce wtórne wobec sterowni właściwej, czyli ogromnej hali obrastającej pierścieniem główne silniki. Bo przecież to tam mieściły się najważniejsze komponenty potrzebne do podróży. Jeszcze nigdy żaden pilot nie uchylił kursu Desmonda nawet o ćwierć milimetra, kierując z miękkiej

sterowni, bo nigdy nie było takiej potrzeby. Rejs na Kepler był maratonem, a nie sprintem.

Komandor spostrzegł, że jest dobre kilkanaście minut drogi od celu, więc zaczął biec, by jak najszybciej odpowiedzieć na wezwanie. Jeśli kapitan nie mogła mówić przez łącze, to musiało być to coś poważnego.

Kilkanaście osób po drodze zwróciło uwagę na biegnącego komandora, wymieniając się z zaciekawieniem uwagami. Ostatnie plotki na temat milczącego Smoka zapoczątkowały niepokój, pączkujący na okręcie, gdzie jedynymi wydarzeniami były kolejne projekcje tych samych filmów. Najmniejsza nowina potrafiła postawić ludzi na nogi, choć ci nigdy nic w związku z tym nie robili. Adam miał nadzieję, że tym razem będzie podobnie.

Wreszcie dopadł do drzwi swojego oficcerskiego miru, gdzie czekała na niego Ewa. Drzwi antycypując nadejścia komandora, otworzyły się z sykiem i zaraz zamknęły, gdy tylko wszedł. Kilka osób zaczęło szeptać między sobą, z niesmakiem spoglądając na przewodnika ich podróży. Jakie sekrety mógł skrywać nagły pośpiech komandora? Kurs kolizyjny z asteroidą? Awaria silników? Obce formy życia? Domysły narastały i rozwadniały się z czasem.

– Mów – rzucił krótko i oparł dłonie o swój fotel.

– Coś się do nas zbliża i wejdzie w kontakt bezpośredni za około szesnaście godzin.

– Jakie coś? Coś w sensie, że jesteśmy na kursie kolidującym...

– Nie, to raczej okręt. Zmienia swoją trajektorię i daje odczyty. Mimo to nie mamy kontaktu radiowego, a wszystko wskazuje na to, że to jakaś mniejsza jednostka, lądownik ze Smoka.

– Czyli to całe gadanie o chińskim ataku...

Ewa machnęła ręką i pokiwała głową na boki, zbywając spiskową teorię.

– Spróbowaliby tylko, powodzenia. – Kapitan uśmiechnęła się, ale po chwili z westchnieniem wskazała na panoramiczny ekran, rozświetlający kokpit. – Tutaj jest oczekiwany czas do przybycia, ale tu na bieżąco komputer bierze poprawki na zmianę trajektorii. Jeśli mają zamiar nas atakować, to będzie to precedens, istny *casus belli*.

– Ale...

– Ale nie spodziewałabym się czegoś takiego. Prędzej będą chcieli zadokować w cargo, bo inaczej by wysłali wiadomość radiem i nie musieli fatygować się przez kawał kosmosu osobiście.

– Tylko komunikacja radiowa na tym dystansie to w sumie pisanie listów, może chcą od nas coś konkretnego?

– Też tak myślę – powiedziała Ewa, kiwając głową w zadumie. – Ciekawe, czy ma to związek z tą ciszą radiową. Może wpadli w jakąś... Nie wiem, anomalie, usmażyło im komponenty i chcą od nas odkupić albo przyjąć w ramach zapomogi? Cholera wie, tak czy inaczej trzeba będzie budzić jedynki.

Adam zmarszczył brwi, zacisnął mocno usta. Już miał coś powiedzieć, ale Ewa obróciła się nagle i spojrzała pytająco. Cisza przedłużała się, aż w końcu komandor odparł cierpkim tonem:

– Nie widzę powodu. Mam niezbędne autoryzacje, nie musimy nikogo budzić.

– I chcesz na siebie wziąć odpowiedzialność za...

– No za co?! Że jakiś okręt chce u nas dokować? A niech dokuja, śmiało, oprowadzę ich i jeszcze poczęstuje herbatą. Nie muszę przecież informować o wszystkim całej tej napęczniałej, śpiącej buchalterii.

– Jezu...

– Nie mów tak – przerwał nagle Adam, wyciągając palec w kierunku Ewy. – To rozmowa służbowa, wiesz, jaki jest regulamin.

– Jest głupi.

– Jest przez ciebie podpisany. Powtórzę się: nie potrzebuję autoryzacji od nikogo, ja tu rządzę i robię to dobrze. – Adam przegryzł wargę, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale nagle spojrzał gdzieś przed siebie i odezwał się z nową energią. – Elizabeth, wykasuj ostatnią minutę zapisu z kamer i głośników, również w kopii zapasowej, uprzednio wklej przed materiał komendę ograniczonej prywatności ze względu na czas wolny, a potem zakończ go i wróć do nagrywania.

– Gotowe – odezwał się przymilny i profesjonalny głos pozornej inteligencji okrętu.

Adam spojrzał z mieszaniną złości i politowania na kapitan, po czym powiedział:

– Nie chcę musieć tego robić następnym razem.

– Może nie będzie następnego razu? – odpowiedziała zjadliwie Ewa.

– Nie... – komandor zamilkł, odwrócił się i stanął przed zamkniętymi drzwiami. – Pamiętaj, po co tu jesteśmy. Nie robisz tego dla mnie, tylko dla niego.

– Nie powinieneś był tego mówić – odpowiedziała Ewa.

Adam w ciszy otworzył drzwi i opuścił mostek, zostawiając za sobą drżącą Ewę, skuloną w fotelu dowódcy.

* * *

Tuzin dwójek z paralizatorami stanął w półkolu przed miejscem, które wyznaczono na lądowanie okrętu. Wysoki sufit hangaru niósł echem

najcichsze szepty, odbijające się wśród karnych rzędów transporterów, myśliwców i fregat inżynieryjnych.

Atmosfera gęstniała z każdą chwilą, a militarny nastrój całej sytuacji zdawał się tylko podburzać ludzi, przyzwyczajonych przez lata do pokojowego charakteru wędrówki. Całą politykę i konflikty zostawili przecież na Ziemi. A teraz na dodatek musieli skonfrontować się z obcą i możliwe wrogą frakcją z innej arki.

Gdyby tylko Smok wysłał choć jedną wiadomość, wyjaśniającą cel wizyty, na pewno wszystkim byłoby łatwiej to przełknąć. Mimo to tak się nie stało, a kilkunastometrowy, szkarłatny okręt transportowy już mijał Desmonda, wyrównywał z nim prędkość i szykował się do manewru lądowania.

– Zadam to pytanie, bo nikt z was albo nie pomyślał o tym, albo nie ma dość odwagi – powiedział lekko drżącym głosem Samuel. – Czy bierzemy pod uwagę, że to inwazja?

Komandor obejrzał się na inżyniera, zaraz na kapitan i znowu na inżyniera, po chwili wahania pokręcił głową i założył ręce za plecami. Pomiędzy ubranymi w pełny rynsztunek dwójkami, przeżąc się w mundurze galowym, czuł się nieco bezpieczniej.

– Wysłaliby więcej okrętów albo zaatakowali z daleka lub spróbowali przejąć nasze systemy komputerowe. Jest tysiąc jeden sposobów, na które mogliby to zrobić lepiej.

– A co jeśli mają bombę? – dopytał poważnie inżynier.

– Jakby mieli bombę, to ustawiliby zapalnik i staranowali małym okrętem na autopilocie nasze silniki. Samuel, ja też się stresuję, ale błagam cię, pół tonu ciszej. Już wystarczy, że ludzie siedzą jak na szpilkach.

Nagle zagrzmiał alarm – dudniący i skrzeczący na zmianę. Ściany pokryły chaotyczne cienie rzucane przez czerwone lampy, błyskające się

ostrzegawczo. Zewnętrzna śluza wlotowa zaczęła się otwierać. Chrobot mechanizmów poniósł się po całym hangarze, choć tam, na zewnątrz, musiało być doskonale cicho.

Ewa schowała ręce za siebie, gdy dostrzegła, że pozostali robią to samo, by nie było widać, jak drżą. Pierwszy raz od pół wieku mieli zobaczyć innych ludzi.

– Jak wasz mandaryński?

– Pewnie lepszy niż ich angielski – odparł Samuel. – Wasz?

Ewa przytaknęła po prostu, a Adam wzruszył ramionami. Niby każdy się kiedyś uczył w szkole, tyle lat straszono, że Chiny będą narzucać światu wszystko, ale jakoś nigdy nie udało im się zdominować sfery języka. Zresztą, nie było po co, skoro z czasem translatory zaczęły być sprawniejsze od tłumaczy.

Zewnętrzna śluza zamknęła się z hukiem, przez krótki moment chiński okręt był w hangarze dekontaminacyjnym, między dwiema ogromnymi bramami.

Może to jest ten moment, pomyślał Adam, by kazać im się z nami skontaktować radiowo, a w razie odmowy nie otworzyć bramy z jednej i drugiej strony? Tylko co jeśli staną okoniem i znowu zaczniemy zjeżdżać z górki dyplomatycznej? Kurwa, że też zawsze trzeba innym ustępować.

Brama rozwarła się z donośnym rumorem. Tu drgania powietrza pozwalały na wyraźny odgłos. Komora dekontaminacyjna nie zdążyła się wypełnić powietrzem z wentylatorni, więc rozszczelnieniu towarzyszył krótki huk i syk, lecz po chwili jedynie świst silników wypełniał salę.

Jaskrawoczerwony okręt przywierał kołami do stalowej posadzki, lecz jego silniki nadal wydawały cichy, jednostajny dźwięk. Dopiero po chwili chiński transporter ucichł i z delikatnym stukotem podjechał bliżej środka hangaru, by zrobić pełny zwrot.

Rampa opadła z hukiem, a następnie zazgrzytała, wyciągając się niczym szyja jakiegoś ciekawskiego zwierzęcia. Dopiero po chwili całość przybrała łagodny kąt, po którym mogło zbiec pół tuzina żołnierzy w pełnym umundurowaniu, z karabinami w dłoniach i przywierających do szyj hełmach z własnym obwodem dotleniającym.

– Mają broń długą, zapewne z ostrą amunicją – odezwała się Ewa.

– Jebani idioci – warknął komandor. – To są jednak naprawdę dzikusy.

Żołnierze ustawili się naprzeciw dwójek z pokładu Desmonda. Ochrona okrętu wymieniała się spojrzeniami, szukając aprobaty i kogoś, kto podjąłby decyzję. Cokolwiek, byleby tylko przerwać niezręczną ciszę i moment napięcia.

Wtedy z pokładu czerwonego okrętu zeszła ostatnia osoba, w towarzystwie kobiety w kombinezonie z obiegiem tlenu. Człowiek wyglądający na oficjalnego wysłannika był o dziwo najmniej przygotowany ze wszystkich. Jako jedyny nie miał na sobie maski, a jedynie nieco przyciasny mundur oficerski o pagonach obszytych nitką złotego koloru. Robił swoim wyglądem mniejsze wrażenie niż pozostali w pełni uzbrojeni załoganci transportera.

– Coś jest nie tak, jak powinno. – Ewa wyprężyła się z powagą i zaraz zamilkła, widząc nadchodzących wysłanników.

– Na pokładzie okrętu pana Desmonda panuje całkowity zakaz noszenia broni – oznajmił po angielsku Adam, taksując z bliska twarz chińskiego oficera.

– Nie mamy ze sobą broni – odpowiedziała kobieta z za półprzezroczystej maski, niemalże bez akcentu.

– A to? – spytał komandor, spoglądając na chińskich żołnierzy.

– To załoga naszego okrętu – dodała bez wahania. – Nazywam się Deng Yun, a to jest pułkownik Cai Chang. Czy możemy przejść do kwater?

– Czy pan pułkownik nie raczy wyjaśnić, z czym do nas przyleciał przez kawał zimnego kosmosu? – odezwał się Samuel, strzelając oczami na komandora i z powrotem na pułkownika z obcego okrętu.

– Pułkownik nie mówi po angielsku, będę pełnić funkcję tłumaczki. Informacje, które mamy i kwestie, o których będziemy rozmawiać, wymagają najwyższej poufności i chcemy, żeby było przy tym jak najwięcej osób z państwa komisji decyzyjnej.

– Tu nie ma komisji decyzyjnej, nazywam się Adam Leniart, jestem komandorem tego okrętu i na chwilę obecną to ze mną będziecie rozmawiać.

Ewa zmrużyła oczy, przestąpiła z nogi na nogę i odchrząknęła cicho.

– Zatem porozmawiamy z panem – odpowiedziała Yun, wskazując dłonią na przeciwległą ścianę z dwuskrzydłowymi drzwiami z plexiglasu.

– Dlaczego nie zapowiedzieliście wizyty przez radio? Mieliśmy prawo uznać to za atak i was zestrzelić.

Cai Chang obejrzał się niepewnym wzrokiem na boki. Stojący obok dwaj żołnierze zmierzli spojrzeniem pułkownika i zaraz wrócili do beznamiętnego patrzenia przed siebie, nawet nie kierując uwagi na rozmówców.

– Zapowiedzieliśmy – rzuciła sucho Yun, jej głos nawet nie drgnął.

– Bzdura – odparł Samuel, ale zaraz zacisnął usta i zaczął czegoś szukać na wyjętym z kieszeni niewielkim tablecie. – To są zapisy z naszego nasłuchu, konkretnie z odbiorników, które do tej pory odbierały wasze sygnały ze Smoka. Proszę spojrzeć, absolutna cisza. Sami musieliśmy was wykryć.

– Wysyłaliśmy wiadomości o naszym przylocie. Nie wiem, co tutaj pan pokazuje.

– Pokazuje dowód na to, że kłamiecie – odwarknął Samuel.

– Sam, spokojnie. – Adam wznosił dłoń w pokojowym geście. Przez moment mierzyli się wzrokiem, lecz zaraz komandor westchnął krótko i zwrócił się ponownie w kierunku ewidentnie zmęczonego pułkownika o bladej twarzy i odezwał tak, jak potrafił, po mandaryńsku. – Otrzymaliście od nas komunikaty?

Pułkownik zamrugał nagle jakby wybity z pantałyku. Rozejrzał się na boki, żołnierz i Yun po prostu zmierzyli go wzrokiem i zaraz przedstawicielka ponownie wróciła do języka angielskiego, splatając dłonie na podołku.

– Z całym szacunkiem, ale chyba pana akcent nie pozwoli nam na taką rozmowę. Tak, jak powiedziałam, będę wszystko tłumaczyć.

– Może ja będę tłumaczyła? – spróbowała Ewa po kantońsku.

Pułkownik zagryzł usta i spuścił wzrok na buty. Yun pokręciła głową i odpowiedziała głośniejszym i dobitniejszym głosem:

– Ja będę wszystko tłumaczyć. Czy możemy już przejść do kwater?

– Dobrze, może przejdźmy wpieryw do komory dekontaminacyjnej dla personelu i znajdziemy dla państwa ubrania, chyba że przywieźliście swoje? – powiedział Adam, w jego głosie dało się wyczuć już wyraźne zmęczenie.

– To są nasze ubrania.

– I macie zamiar z nami rozmawiać w skafandrach?

– Tak, natomiast pan Chang z szacunku postanowił zdjąć swój hełm, by móc z wami mówić twarzą w twarz.

– Rozumiem, że was nie stać na taki honor – odparł cierpko Adam.

– Możemy państwa przeprosić? – spytała Ewa, chwytając komandora za ramię i odprowadzając kilkanaście kroków na bok.

– Nie jesteś zbyt dyskretna – szepnął rozzłoszczony Adam. – Co sobie pomyślała? Że po prostu targasz mnie gdzieś na boku? Chyba jest jakiś protokół dyplomatyczny...

– Opamiętaj się – syknęła Ewa. – Może jest, ale wiesz co? Nie znasz go, a wiesz, czemu go nie znasz? Bo to nie jest twoja praca. Twoją pracą jest trzymanie za mordę kadetów i obsługi oraz dbanie o to, byśmy dolecieli na miejsce w jednym kawałku.

– Więc w czym rzecz?

– Budzimy jedyńki... TERAZ. Rozumiesz mnie? Nie odwracaj się, patrz na mnie, patrz mi na usta, TERAZ budzimy jedyńki. Jakąkolwiek, nie nasz problem. Cedujemy odpowiedzialność, rozumiesz? To jest ostatni moment, w którym możemy suchą stopą wyjść z tego bagna. Nie mam zamiaru prowadzić jakichś brudnych gier z pieprzonym rządem obcego mocarstwa. Jesteśmy prywatną firmą, niech akcjonariusze się tym zajmują.

– Jesteśmy własnością tej firmy, a teraz wreszcie mamy chwilę, by sami o sobie decydować, wiesz?

– Wiem i dlatego właśnie tym bardziej tego nie chcę. Nie chcę, żeby po przebudzeniu jedyńki wysłały wiadomości w butelce do mojego domu, że mają przestać płacić za insulinę dla mojego dziecka, rozumiesz to? Rozumiesz mnie czy nie? Jeszcze naliczą im taki dług, że do końca życia się nie wypłacą, ani ja, ani my wszyscy.

– Ta wiadomość i tak leciałaby pół wieku, a ja mam dość. To jest jedyna szansa, gdy możemy coś ugrać dla siebie. Ewa, tam na Ziemi nie ma już nic, rozumiesz? Minęło blisko pięćdziesiąt lat. Nawet gdybyśmy teraz zawrócili, to nie zobaczylibyśmy bliskich. Byłaby tylko obrzydliwa hałda śmieci, szara, martwa, wydrenowana z zasobów planeta. Bo jakaś banda bogatych chujów uznała, że w sumie to mają to w dupie i mogą sobie zna-

leżć inną, a ktokolwiek odziedziczy po nich ten syf, niech to sprząta. Więc choć przez moment spróbujmy decydować o tym, co się dzieje, dobrze?

– Nie uderzę cię tylko dlatego, że ciężko o gorszy moment na to, ale jesteś świnią i nie chcę na ciebie patrzeć – powiedziała cicho Ewa, wracając do Samuela. Inżynier dalej próbował przekonać pułkownika do odezwania się w jakimkolwiek narzeczu.

– Chodźmy zatem do kwater, skoro to takie ważne i pilne – stwierdził Adam, zbliżając się do delegacji. – Zapraszam na pokład.

Część żołnierzy tymczasowo została przy okręcie. Pułkownik ruszył w towarzystwie tłumaczki i dwóch ochroniarzy, miał nietęgą minę. Zapewne okręt wydawał mu się całkowicie obcy, w porównaniu do Smoka, na którym spędził swoją podróż. W rzeczywistości większość okrętów była i tak niezwykle podobna, bo musiała zawierać te same, niezbędne do kolonizacji elementy i niewiele więcej.

Zapasy na podróż, komory hibernacyjne, kwatery dla części załogi, sekcja rolnicza i hodowlana, gargantuiczne magazyny części zapasowych, które mogły się z tego czy innego powodu zużyć w trakcie podróży. To wszystko podtrzymywane przez specjalistów oraz robotników, dogłębne, raportowane i tak przez lata, codziennie w rygorze, bez szans na zmianę i możliwości wprowadzenia istotnych poprawek. Zamknięty obieg.

I właśnie to wywołuje największy strach w ludziach – inni ludzie, spoza obiegu. Tacy, którzy wcale nie przyszli, by respektować zasady i żyć zgodnie z ustanowionym prawem. Oni przybyli jedynie na moment, z doskoku, przestrzegać najwyżej paru praw, które obowiązują gości. Nie mają nic do stracenia, nie czują respektu do zastanego świata, który nie jest ich światem.

Załoganci z Desmonda znali swoje miejsce, więc jak mieli się czuć, gdy ludzie z zewnątrz: z obcymi zasadami, z bronią, przybywają na ich

okręt, nic nie oferują i zostają umieszczeni w najbardziej luksusowych pokojach dla jedynek? Zwykle zamknięte, wykwintne i eleganckie hotele dla zarządu były jedynie pomnikami bogactwa: sprzątanymi regularnie, odświeżanymi, ale nigdy nieużywanymi. Jak ozdoba lub rzeźba, sacrum.

A teraz załoganci Desmonda odprowadzali zawistnymi spojrzeniami chińską delegację, zmierzającą do strefy, na której teren wstęp miały tylko jedynki, kadra dowodząca oraz konserwatorzy.

Dziwnie dużo ich, pomyślał Adam, spoglądając na setki ludzi, niby przypadkowo szwendających się wśród ścieżek spacerowych i korytarzy. Pierwszy raz od dawna można było dostrzec kolejki w punktach społecznych i przy automatach z żywnością.

Przez całą drogę Chang wydawał się Adamowi bardziej zdenerwowany niż sam komandor. Co chwila podpierał się o ściany, a momentami wręcz zdawał się kreślić palcem po poręczach i dowolnych powierzchniach, jakby z nerwów musząc stale czegoś dotykać, czy to ozdób, czy klamek.

Pułkownik rozejrzał się w osłupieniu po wnętrzu luksusowego salonu, połączonego dwoma korytarzami z prywatną łazienką i sypialnią. W tej części okrętu było zdecydowanie mniej ludzi, jedynie pojedynczy konserwatorzy i ochroniarze.

Adam z satysfakcją dostrzegł, że na twarzy wysłannika odmalował się szczery podziw. Poczuł, jakby to jego własny okręt był komplementowany. Był dobrym gospodarzem i zrobił wrażenie na kimś u władzy – przyjemne uczucie.

Sama tłumaczka wydawała się mniej zainteresowana, natomiast dwaj żołnierze nie przykuwali najmniejszej uwagi do czegokolwiek i kogokolwiek poza samym pułkownikiem. Byli ostrożni w ruchach i cały czas spoglądali w jego kierunku, jakby oczekując.

– Czy na pewno tu jest bezpiecznie? – spytała tłumaczka.

– Tak długo, jak ci dwaj będą trzymać palec dalej od spustu – odpowiedział Adam, spoglądając na żołnierzy.

Yun wskazała bezgłośnie żołnierzom, by opuścili lufy karabinów, wodzących od lewa do prawa po pokrytych kolorowymi ekranami ścianach. Przez najkrótszy moment Adamowi zdawało się, że przyszedł czas na właściwą część wizyty.

– Macie tu cykl dobowy, prawda?

– Różny dla różnych osób, wyciemniamy tylko pojedyncze pomieszczenia lub sale prelekcyjne i kinowe, chociaż rzadko jest okazja.

– Zatem czy możemy prosić o kilka godzin snu? Szanowny pan Chang wolałby się przespać, nasza podróż trwała niemal dobę, a transporter nie posiadał wygodnego miejsca na żaden odpoczynek.

Adam zacisnął dłonie w pięści. Z każdą chwilą coraz bardziej przychodziło mu na myśl, że nie jest stworzony do polityki ani dyplomacji. Każde zdanie z ust tłumaczki grało na zwłokę i zmęczenie załogantów Desmonda, zapewne tylko po to, by ułożyć dla siebie wygodniejszy grunt do rozmów.

– Dobrze, zakwaterujemy żołnierzy w drugiej klasie.

– Nie, spokojnie, wszyscy prześpimy się tutaj – odpowiedziała po chwili wahania Yun, zacierając rękawiczki siwego kombinezonu. – To u nas normalne, na Smoku i tak nie ma dużo miejsca, mamy zbiorowe sypialnie.

– My mamy nadmiar pustych – zaśmiał się komandor i po chwili ugryzł się w język. Nie było sensu odkrywać wszystkich kart. – Dobrze, zostawimy z państwem naszą inteligencję pozorowaną i widzimy się za... Pół doby?

– Nasza wizyta ma charakter poufny, prosimy o to, by nie podsłuchiwać rozmów i uszanować naszą prywatność.

Komandor uśmiechnął się delikatnie i pokiwał głową, przymykając powieki na nazbyt długo. Przez moment stał tak, nie patrząc się na nic, próbując przetrwać całą sytuację i dopiero po jakimś czasie rozejrzał się po pokoju, przytaknął i odwrócił się na pięcie, by odejść. Samuel oraz Ewa spojrzeli jeszcze raz po sobie, pożegnali się zdawkowo i wyszli zaraz za swoim przełożonym.

Drzwi kwatery zamknęły się z cichym syknięciem, odcinając całkowicie chińską delegację w apartamencie.

– Czekają nas mozolne i trudne negocjacje – westchnął Adam.

– Was, ja jestem zajęty, pamiętasz? Przez resztę podróży będę zajmował się konserwacją i sprawdzał stan techniczny zapasowych części.

– Zostaw to, to już chyba nie jest takie ważne – mruknął komandor, krzywiąc się przy tym i spoglądając na zamknięte drzwi. – Raczej nie w sprzeczcie był problem.

– O, czyżby? – Samuel przybrał zdeglustowaną minę. Zmarnował ostatnie zmiany na robieniu czegoś, co i tak uważał za bezużyteczne, a teraz wreszcie to ktoś potwierdził. – I co mam wpisać w archiwum? Z jakiego powodu przerwano konserwację? Jak zapiszę to, że część rzeczy odpłombowałem na marne?

Adam wzruszył ramionami i bez słowa po prostu odszedł, spoglądając wysoko w sufit ze sztucznymi gwiazdozbiorami.

– Absolutna strata czasu – szepnął Samuel.

Ewa pokiwała głową w milczeniu i ruszyła w tym samym kierunku co komandor, ale drugą stroną promenady, by nie musieć iść za nim. Ostatecznie i tak zmierzali w tym samym tempie i w to samo miejsce.

* * *

– Festiwal złych decyzji – powiedziała po wielu godzinach milczenia Ewa.

Ekran w kokpicie wyświetlały finezyjnie dobraną przez algorytm panoramę szkarłatnych i błękitnych mgławic, wirujących szybko w nicości. Dziesiątki tysięcy gwiazd widocznych gołym okiem sprawiały, że momentami kosmos zdawał się równie czarny, co biały i błyskający na zmianę wszystkimi kolorami spektrum światła widzialnego po kolei.

– Wpuszczenie ich czy zakwaterowanie? – spytał Adam, drapiąc się po przesuszanej skórze dłoni.

Kapitan pokręciła głową na boki, mlasnęła z niesmakiem i odblokowała panel kontrolny. Nagle zgasły wszystkie światła, została tylko ściana ekranów imitujących kolorowy kosmos, lecz zaraz i ona całkowicie zniknęła, zmieniając się w nieprzemierzony kobierzec czerni. Gdzieś pośród chłodnego bezkresu można było dostrzec dosłownie kilka jasnych, mrugających kropek.

– Wszystko. Cała historia ludzkości razem z tym momentem.

– Na co patrzymy?

– Dom, a raczej to, co z niego zostało – mruknęła Ewa, wyciągając rękę przed siebie, aż poczuła pod palcami stygnący ekran.

– Jak byłem mały, to myślałem, że kosmos jest...

– Żywszy?

– Gęstszy – dokończył komandor. – W takim sensie, w jakim nawigujesz po Ziemi. Idziesz między drzewami albo polami, od góry do góry, od słupa do słupa, wśród domów albo farm; mijasz krzak, nad którym wiszą komary i kałużę, w której ktoś rozdeptał dżdżownicę i wypluł gumę.

– Niestety, nawet kolonizatorzy Ameryki mieli na co patrzeć po drodze, jakąś różnicę między oceanem a niebem, księżyc, słońce, ryby, albatrosy.

– Zjadłbym rybę, ale taką prawdziwą, z hodowli.

– Z wypłukanym plastikiem, też bym zjadła. Te z morza zawsze śmierdziały chemią.

– Powiniennem przeprosić?

Na moment zapanowała cisza. Kapitan spoglądała ze znużeniem w pustą kosmos i migające bardzo rzadko gwiazdy, mijane obok.

– Tylko jeśli uważasz, że powinieneś.

– Nie zrobiłem nic złego.

– Więc nie masz za co przeproszać.

– Mimo to zachowujesz się, jakbym miał.

– Bo uważam, że powinieneś. Nie dlatego, że ja tego chcę, ale dlatego, że sam powinieneś uznać, że tak należy.

– Czyli jesteś zawiedziona tym, że mam inne zdanie niż ty. W kwestii naszej pracy jestem odpowiedzialny za wszystko, więc ja podejmuję decyzje. W kwestii naszej relacji... Robię to, co uważam za słuszne i też jestem odpowiedzialny za konsekwencje. Gdybym miał wybierać: być zły na siebie za mówienie czegoś, czego nie uważam, a mówić coś, czego ty nie chcesz słyszeć, to bez wahania wybrałbym to drugie.

– To przykre – odpowiedziała Ewa, obracając się w fotelu na bok, twarzą do ściany.

– Jestem po prostu brutalnie szczery. – Wzruszył ramionami Adam.

– Nikt nie chce twojej brutalnej szczerości – odezwała się nagle głośniej kapitan i spojrzała na przełożonego. – Pokaż mi swoją empatyczną szczerość. Gdzie jest twoja troskliwa szczerość? Pochwal się wnikliwą szczerością. W dupę sobie wsadź brutalną szczerość, nikogo ona nie obchodzi.

– Chyba przez te pół wieku – zaczął po chwili przerwy komandor – powiedzieliśmy sobie wszystko, co dało się powiedzieć. Wyślij mi wiadomość na bransoletę, gdy będziesz chciała coś zmienić.

Drzwi syknęły głośno, wpuszczając do kabiny mocne światło LED-ów. Na ekran kokpitu przez moment padał cień, stojącego w progu komandora, lecz zaraz zaczął się zmniejszać, aż w końcu drzwi zsunęły się znowu, odcinającabinę pilotów.

Na pokładzie Desmonda było wyjątkowo ruchliwie. Między alejami z dokładnie dogładanymi roślinami przechodziły dziesiątki zbudzonych trójek, zaaferowanych ostatnimi wydarzeniami. Co najdziwniejsze, większość z nich nie szła w parach czy samotnie, a grupami, rozprawiając głośno.

Adam rozejrzał się zdezorientowany. Wzrok ludzi ewidentnie spoczywał na nim, choć nikt się nie odzywał ani nie zaczepiał go w czasie spaceru.

Ludzie przez te lata zdążyli poznać się na tyle, by wiedzieć, z kim nie rozmawiać i kogo nie spotykać. Większość wolała w ogóle nie szukać kontaktu z innymi, zajmować się swoją pracą i jak najszybciej wrócić do hibernacji, w oczekiwaniu na lepsze jutro. Tym dziwniejsze było to, jak wiele całkowicie różnych osób zdawało się teraz żywo ze sobą szeptać, nieraz gorączkowo gestykulować i ewidentnie sprzeczać. Mimo to kręgi rozmów nie rozpadały się na pojedynczych, obrażonych interlokutorów, a wręcz przeciwnie, zyskiwały na kolejnych słuchaczach.

– Idzie Marco Polo, wielki odkrywca światów – zaśmiał się ktoś z tłumu, wskazując na komandora.

Leniart obrócił się spokojnie, wyłowił wzrokiem komentatora i zbliżył się szybko. Ludzie odstąpili o krok, cała solidarność zbudowana

dyskretnymi podszeptami upadła. Kilka dwójek zareagowało szybko i zbliżyło się do oficera, trzymając dłonie blisko paralizatorów.

– Nazwisko, departament – rzucił krótko komandor.

– Kloze, David Kloze, departament robotyki i automatyki, sekcja agrarna.

Komandor wyciągnął przed siebie dłoń, Kloze zmrużył odruchowo wzrok, ale nie cofnął się ani trochę.

Bransoleta na nadgarstku Leniarta błysnęła nagle, skanując i zapamiętując twarz rozmówcy. Komandor spojrział na moment w odczyty, kątem oka widząc, jak szyja Davida drży delikatnie ze stresu.

– To nie jest twoja zmiana hibernacyjna – mruknął z niezadowoleniem Leniart i zakasłał kilka razy.

– Nie musi być. Mam prawo być na nogach.

Komandor wskazał palcem kolejnego z tłumu, wyciągnął bransoletę i zeskanował jego twarz, a zaraz twarz następnego i następnego z obserwujących. Na skroni dowódcy dwójek wystąpiła pulsująca żyła, a skóra zaczęła czerwienić się natychmiastowo.

– Wy wszyscy się wybudziliście teraz? I niby po co takiego przeżeracie zapasy? Brakuje wam czegoś, stało się coś?

– Ponoć gości mamy – stwierdził Kloze, uśmiechając się sardonicznie.

– I co, chcesz im dać prezent?

– Nie, panie komandorze, po prostu chcę wiedzieć, dlaczego uzbrojeni, obcy żołnierze chodzą po naszym okręcie.

– I co zrobisz z tą wiedzą panie Kloze? Planujesz rozpocząć partyzantkę? Mają swoje umundurowanie, ich sprawa. Rób swoją robotę, a ja będę robił swoją. Zajmę się tym, abyśmy mieli dobry kontakt z obcym

mocarstwem, gdy będziemy kolonizować Keplera. A ty... No cóż, możesz przyciąć trawę, jak ci się nudzi, a najlepiej wracaj spać.

Komandor obrócił się, wymienił spojrzeniami z dwójkami i odszedł. Ochroniarze natychmiast zaczęli namawiać ludzi do rozproszenia się, nie dając przy tym żadnych argumentów ani powodów.

Kolejna godzina upłynęła Leniartowi na przemieszczaniu się przez coraz bardziej zatłoczone promenady i usilnych próbach spożycia posiłku w spokoju. Szykował się na to, co powie na spotkaniu, wyszukiwał listę przydatnych zwrotów w różnych dialektach i studiował protokoły dyplomatyczne sprzed ery kolonizacji. Zebrał kilka najlepiej prezentujących się dwójek, odświeżył się w łazience i poczuł, że jest gotowy na wszystko.

Wpierw słychać było wycie syren, a potem dopiero zagrały czerwone, awaryjne światła i rozbrzmiał głos pozorowanej inteligencji Elizabeth.

– Hangar pierwszy, zerwanie ciągłości procedur, Hangar pierwszy, zerwanie ciągłości procedur. Wymagana natychmiastowa interwencja – grzmiał zapętłony komunikat.

– Kurwa – warknął Leniart, zrywając się z miejsca i biegnąc ku korytarzom odpraw.

Po drodze dołączali do niego przechodnie i spacerowicze, a nawet trójki w trakcie pełnienia swoich zadań. Ludzie rzucali się na wyścigi, byleby zobaczyć, co wzbudziło niespodziewany alarm.

– Z drogi! Z drogi, ludzie, mam kurwa włączyć sygnał, czy co? Przepuście mnie do jasnej cholery! – krzyczał komandor, odpychając kolejnego człowieka na ścianę. Z niepokojem obserwował, że nie ma w zasięgu wzroku żadnej dwójki, gotowej przyjść mu w sukurs i podeprzeć argumentem siły.

Tłum niemal kilkuset osób zebrał się przy wielkich, przeszklonych drzwiach, oddzielających szeroki korytarz od hangaru. Większość osób nie widziała nic sponad głów pozostałych gapiów.

Najbardziej niepokojące było jednak to, że gruby plexiglas był pomazany w kształty dłoni, rozjeżdżających się i dobijających z wewnątrz krwawymi śladami.

Adam z trudem przepchał się niemal pod same drzwi, wymagające do otwarcia identyfikatora przynajmniej dwójki. Na szkłe od zewnętrznej strony odbiły się smugi przyciskanych mimowolnie twarzy i kończyn, każdy chciał zobaczyć, co się dzieje, Ignąc do jeszcze cieplej, rozlewającej się posoki.

Gdy komandor już miał otworzyć przejście, zamarł w pół ruchu i spostrzegł ogromną, błękitną lunę silników z chińskiego transportowca. Krew na szkłe zadrżała delikatnie i pąsowe stróżki skondensowanej pary wzbity się pod sufit.

Hangar zasłany był ciałami techników i nielicznych ochroniarzy, którzy byli na miejscu w momencie rzezi. Pierwsze, stalowe drzwi otworzyły się powoli, wpuszczając okręt do przedsionka dekontaminacyjnego. Delegacja opuszczała pokład Desmonda, zostawiając za sobą śmierć i zniszczenie.

– O nie... Nie, nie, nie! Wszyscy do tyłu! Do tyłu! – krzyczał Leniart, lecz ludzie pchali się z jeszcze większą mocą, znudzeni codziennością, chcąc zobaczyć tak niezwykle i groźne wydarzenie z bliska.

Wtem drugie wrota hangaru otworzyły się, nim pierwsze zamknęły. Huk rozhermetyzowanego pomieszczenia poniósł się ze znaczną prędkością. Ludzie zgięli się do ziemi ze strachu. Nieprzymocowane przedmioty i ciała zabitych w hangarze oderwały się od posadzki i pofrunęły

w kierunku doskonale czarnego otworu, w którym stał szkarłatny okręt chińskich przybyszów.

Zaparkowane w hangarze okręty obruszyły się nagle. Jedna z fregat zmiażdżyła własnym ciężarem mocowania, na których stała i uderzyła kadłubem o podłogę, robiąc w niej głęboką dziurę. Parę mniejszych jednostek i sond uderzyło o ścianę lub wyleciało w nicość, ciągnąc za sobą zwoje drutów i kabli. Całe pomieszczenie zmieniło się w chaotyczne pobojowisko, oświetlane przez złowrogie sygnalizatory awaryjne.

Szklane drzwi wyglądały, jakby w każdej chwili mogły pęknąć, otworzyć się bez ostrzeżenia i posłać na śmierć setki osób. Wtedy karmazynowy blask transportera zmniejszył się, mignął i zniknął w ciemności. Pierwsza z bram zamknęła się z hukiem, druga po chwili zablokowała się kilka metrów nad krawędzią doku.

Zapanowała cisza, w której słyhać było jedynie ciche łkanie przerażonych, stłumione przez ściśnięte gardła szepty i paniczne drapanie o ściany.

- Żyjemy?
- Co się stało?
- Ci pierdoleni obcy...
- Mówiłem, że to wszystko zły pomysł!
- Tak się kończy ufanie innym okrętom!
- Wszystko zniszczyli!

Leniart przełknął ślinę, miał wrażenie, że po jego plecach zjeżdżają lodowe soople. Dłonie trzęsły mu się tak mocno, że nie mógł sięgnąć do bransolety. Patrząc na wściekły tłum trójek, które cudem uniknęły katastrofy, pierwszy raz czuł, że jego oficerski mundur nie daje poczucia bezpieczeństwa i mocy, a wręcz przeciwnie.

Z ogromnym trudem przyłożył identyfikator do drzwi, co pozwoliło nieco rozładować tłum w korytarzu. Część osób cofnęła się, nie chcąc podchodzić do zgliszczy w obawie o własne życie lub reputację. Kilka trójek odpowiedzialnych za sprzątanie ruszyło do pomieszczeń technicznych po narzędzia pracy, czekał ich długi dzień.

Adam uspokoił się dopiero wtedy, gdy na miejsce przyszły pierwsze dwójki, próbujące zabezpieczyć nieliczne ciała współpracowników i znajomych, którzy nie wylecieli w próżnię, a jedynie zablokowali się o wystające ze ścian elementy i okablowanie. Ci z kolei tworzyli makabryczne mozaiki własnych wnętrzności, rozniesione po wszystkich ścianach niczym parodie dzieł Pollocka.

– Komandorze? – spytał niepewnie ochroniarz obok.

– Bociek, żyjesz, to dobrze – przytaknął z trudem Leniart, klepiąc dwójkę po ramieniu. – Miałeś inną wartość?

– Nie, schowałem się w pomieszczeniu gospodarczym, tam, gdzie trzymamy zamienniki do systemów grzewczych i inne takie gówna. Widziałem, jak szli do nas, mieli broń. Nie było czasu się ogarnąć, no przecież nie z tym gównem, nie? – Bociek wskazał na paralizator, którego zapewne nie wyjął zza paska od wielu dni. – Po prostu wybiłem szybę na alarmie i uciekłem. Zapierdalałem, jak mogłem.

– Zuch, dobra reakcja. – Uśmiechnął się lekko komandor, po czym rozkaszał, nie mogąc złapać oddechu.

– Przygotowana zawczasu – mruknął ochroniarz. – Ja wiedziałem, że tak będzie szefie i ty też wiedziałeś.

– Nikt nie wiedział – odparł bez przekonania komandor, odchrząkując i ukradkowo oglądając zniszczenia. – Nie mogliśmy tego przewidzieć.

Między nogami rozmawiających przejechał automatyczny odkurzacz, ciągnąc swoimi kółkami blednący ślad krwi. Po chwili zniknął gdzieś za rogiem, uciekając biegnącej trójce z mokrym mopem.

– Tak czy inaczej, gdy tylko widziałem całą siódemkę z bronią to już wiedziałem, że jesteście skończeni. Nie mieli nawet obstawy nikogo od nas, po prostu ich wszystkich puszczono luzem po okręcie, rozumie szef?

– Moment... Mówisz, że było ich siedmioro? – spytał z narastającym strachem Leniart, po czym ruszył w kierunku upstrzonych czerwienią drzwi.

* * *

Smród był potworny i tym samym kontrastował z luksusowym wnętrzem apartamentu. Wszystko wyglądało tak, jakby chińska delegacja nigdy nie postawiła stopy w swoich kwaterach. Od normy odstawał jedynie ten porażający zapach, niosący się od momentu otworzenia drzwi.

– Wentylacja – mruknęła beznamiętnie Ewa.

– Najwyraźniej – odparł Adam, zaciskając nos. – Sprawdźcie, no już.

Dwóch ochroniarzy skinęło lekko głowami i ruszyło na obchód pomieszczeń, wykręcając kolejno otwory z szybów wentylacyjnych.

Leniart ruszył w kierunku obszernej łazienki. Obejrzał dokładnie lśniące, białe kafelki, utrzymywane codziennie w doskonałej czystości przez woźnych, nawet gdy nikt nie zamieszkiwał apartamentów. Przez moment rozważał, o ile większe były pomieszczenia jedynek od jego, nagle zdecydowanie nazbyt skromnej, kwatery.

Wzrok komandora skupił się na pojedynczej, brązowej strużce spływającej z kratki poszerzonego otworu wentylacyjnego. Specjalnie powięk-

szony wlot służył do natychmiastowego zamieniania pomieszczenia w łaźnię parową, zatem idealnie nadawał się do schowania czegoś większego.

– Łazienka – podniósł głos komandor, narastający w nim niepokój i złość przewyższały powoli uciążliwość smrodu.

Ochroniarze do połowy wykręcali śruby, a następnie po prostu wyrwali je na siłę, śpiesząc się, by jak najszybciej móc zakryć twarze. Zapach przy samym wentylatorze był nie do zniesienia.

Komandor i kapitan spojrzeli po sobie, gdy krata wentylacyjna wpadła z łoskotem do wanny, odpryskując kawałek ceramiki. I tak wszystko szło w rozsypkę, więc co za różnica?

– No, na co czekacie?! – zagrział Leniart, widząc, jak dwójka ochroniarzy wstrzymuje wymioty, co rusz zagładając do wnętrza ciemnego tunelu.

Dwójki zakotłowały się nagle i żwawo wyciągnęły coś, co wyglądało jak wór oliwkowej barwy. Wór uderzył o wannę, przekręcił się i legł na dnie. Dopiero wtedy wszyscy mogli dokładnie obejrzyć ciało zamordowanego pułkownika Changa.

– Jesteśmy w dupie – mruknął Leniart i włożył głowę pod kran umywalki.

– Zapaskudził się przed śmiercią, zagrzeł w wentylacji, ale te plamy to coś innego – powiedziała Ewa, zbliżając się do zwłok.

Twarz pułkownika świeciła bladością a jej wyraz był po prostu efektem obkurczających się i rozluźniających samoistnie mięśni mimicznych. Mimo to niewielką część skóry pokrywały ewidentne, czarne ślady, przypominające czerniaki lub starcze plamy wątrobowe, tylko ciemniejsze, o bardziej ziarnistej strukturze.

– Elizabeth, przyślij patomorfologa – powiedziała Ewa, zbliżając bransoletę do ust.

– Wybranego? – odpowiedziała pozorowana inteligencja.

– Nie kurwa, losowego! – ryknął Adam, podnosząc głowę spod strumienia wody. Zakręcił kran, obejrzał się na ochroniarzy i ponownie krzyknął. – Wypierdalać do salonu, nie mówić nic nikomu, jak ktoś włączy bransoletę, to jest skończony.

Drzwi zamknęły się z cichym syknięciem, zostawiając w łaźni Adama, Ewę i leżącego w wannie trupa.

– Nic z tego nie rozumiem – mruknął komandor, kaszląc nagle.

– Obudźmy jedyńki – szepnęła Ewa, odchrząknęła i spróbowała powiedzieć coś głośniej. – Wciąż nie jest za późno, może cię nie wyrzucą?

– Nie wyrzucą mnie?! – krzyknął komandor, uderzając pięścią o kant umywalki. – Zabito mi ludzi w hangarze! Podłożono trupa!

– Zaprosiłeś ich...

– Wtargnęli tu!

– Otworzyłeś im wrota!

– Nie miałem kurwa wyboru! – wydarł się Adam i kopnął w ścianę, robiąc wgniecenie w kolorowej blasze.

– Miałeś i masz teraz, to jest właśnie przywództwo, Adam, nie rozumiesz? – Kapitan zbliżyła się do przełożonego i położyła mu dłoń na ramieniu. – Podejmij właściwą decyzję, zbudź jedyńki, powiedz im o zajściu.

Adam zamilkł na moment, pokiwał głową i włączył bransoletę komunikacyjną.

– Elizabeth...

Ewa uśmiechnęła się z lekkim współczuciem. Firma bardzo źle znosiła najmniejsze odstępstwa od reguł, a raczej źle znosiła przejawy samowoli, reguły były tylko po to, by móc usankcjonować ich gniew. Natomiast wierzyła, że przyzwoitość jest wartościowa wtedy, gdy nie wynika z opłacalności.

– Odhibernuj mi pół tysiąca szeregowych dwójek z departamentu ochrony i zablokuj możliwość budzenia trójek – wycharczał Adam, walcząc z własnym, zaciśniętym gardłem. – Dopasuj harmonogram do aktualnego składu załogi.

– Co ty zrobiłeś? – spytała z niedowierzaniem Ewa.

– Podjąłem właściwą decyzję.

* * *

Najprostsza praca świata? Patomorfolog na okręcie, który podtrzymuje nieustannie życie wyselekcjonowanych, zdrowych i wykształconych załogantów. Choć rola trójki – najniższej pozycją osoby na pokładzie – nie była szczególnie przyjemna, to między woźnym a lekarzem była gigantyczna przepaść w jakości życia. W dodatku osobie z wykształceniem medycznym przysługiwało prawo zabrania jednego pasażera. Nie pozostało nic innego, jak oddać kota rodzicom pod opiekę, spakować walizki i zabrać się z żoną w najważniejszą podróż w historii, a potem tylko rajską Ziemia wersja dwa zero. Przynajmniej tak myślała do tej pory Linda Stern.

– *Neisseria meningitidis* – rzuciła zmęczonym tonem Linda, patrząc na nagie ciało pułkownika, przyklepionego do stołu operacyjnego. Jej twarz wyrażała nieustanną batalię własnego zaskoczenia z obrzydzeniem i zmartwieniem o swoją przyszłość.

– A dokładniej? – spytał zirytowany Leniart, opierając się o przeciwległy kraniec stołu. Po jego zaczerwienionej skroni spływała kropelka potu.

Stern zmierzyła wzrokiem komandora od stóp do głów i odsunęła się jeszcze o krok, szeleszcząc przy tym pełnym skafandrem.

– W przebiegu posocznicy przez zapalenie zaczynają się aktywować czynniki krzepnięcia krwi, powstaje zespół wykrzepiania wewnątrznaczny-

niowego, to powoduje powstawanie nieco charakterystycznych plam – wyrecytowała równym tonem, po czym wskazała na twarz zmarłego. – Tutaj i tutaj, wzdłuż ramion, nóg... To te czarne, jakby pan komandor chciał jeszcze dokładniejszej analizy taksonomicznej.

Komandor zacisnął zęby i spojrzął na ciało delegata, którego skóra była już właściwie cętkowana i sina. Puste, rybie oczy spoglądały w wielosoczewkową lampę zawieszoną ponad metr wyżej.

– I niby skąd coś takiego się bierze? – spytała Ewa, stojąc w rogu sali.

– Udar cieplny, urazy zmiżdzeniowe, tętniak aorty, cholera jasna... mógł nawet przedawkować amfetaminę i dać się pogryźć grzechotnikowi, ja mam pytanie do was, mianowicie w jaki sposób do tego doszło? – Linda wyglądała, jakby dusiła się we własnym stroju, rozglądając się po sali operacyjnej jak po wnętrzu toksycznego wysypiska.

– Czy to zaraźliwe?

– Zadajesz nieodpowiednie pytanie, komandorze – odpowiedziała cicho doktor. – To, co wywołało te objawy, może być zaraźliwe... W ten sposób odpowiem. Jeśli mamy do czynienia z wirusem, to zespół wykrzepiania wewnątrznaczyniowego może być przez niego wywołany, ale też nie musi. Nie wszystkie objawy muszą wystąpić, organizm może reagować różnie zależnie od własnych predyspozycji, no i pozostaje jeszcze czas inkubacji...

– Zapytam wprost – przerwała Ewa. – Jaka jest szansa, że to się rozniosło po pokładzie Desmonda przez ostatnie pół doby?

– Z niemal całkowitą pewnością – odpowiedziała po chwili wahania patomorfolog, po czym cofnęła się o krok.

– To jakiś koszmar – stwierdził Adam, chodząc w kółko.

Ewa spoglądała na komandora z narastającym niepokojem. Teraz nagle wszystko zaczęło być zagrożeniem, chodzącą bombą. Zamknięte pomieszczenia Desmonda, zawieszonego w niemalże całkowitej pustce kosmosu, były rzecz jasna straszne, klaustrofobiczne, ale dawały pewne poczucie czystości i bezpieczeństwa. Teraz te dwie fundamentalnie pewne od pół wieku rzeczy zostały brutalnie wyrwane z rzeczywistości wszystkich załogantów, choć jeszcze tego nie wiedzieli.

– W drodze z apartamentów sprawdziłam coś, to chyba dobry moment, by to powiedzieć. To nie jest żaden pułkownik. Nie figuruje na żadnej liście danych Desmonda ani sprzed wyruszenia, ani z dzienników rozmów i przesyłów sygnałowych. Elizabeth sprawdziła i profil jego twarzy pasuje do jakiegoś trzeciorzędowego robotnika z pokładu Smoka. Dochodzi do tego jeszcze kwestia tego, że jako jedyny nie miał na sobie pełnego skafandra, reszta nosiła maski do samego końca.

– Przywlekli nam tu broń biologiczną – ryknął Leniart, kopiąc w narożną szafę na narzędzia. – Pierdolonego śmiecia zarażonego jakimś gównem. A teraz to cholera może być gdziekolwiek, a im nawet nie mamy co zrobić! No przecież cholera jasna ich nie zawrócę i nie staranuję. Co za chory sen!

– Czy mamy jakieś procedury przewidziane na taki wypadek?
– spytała Ewa.

Linda i Adam wymienili się spojrzeniami, oboje licząc na to, że to druga osoba będzie miała adekwatną odpowiedź.

– To nie jest moje pole ekspertyzy ani moja decyzja – powiedziała Linda, pocierając o siebie ręce w gumowych rękawicach.

Ewa spojrzała na swojego przełożonego i pokręciła nieznacznie głową z rozczarowaniem. Widziała, jak wszystko się rozpada, lecz nie mogła nic z tym zrobić.

Komandor strzelał oczami na boki, pot ciurkał mu z czoła, choć nie wiadomo, czy były to pierwsze objawy choroby, czy stres.

– Zabronimy wybudzania ludzi, ogłosimy kwarantannę, postawimy cały personel medyczny w gotowości i po prostu przeczekamy to, bo przecież nie wynajdziemy na statku żadnej szczepionki ani leku, prawda?

– Zaraz, moment, chcesz to przeczekać?! – krzyknęła nagle kapitan.

– Przecież za niecały miesiąc lądujemy w naszym nowym, wspianym świecie. Masz zamiar zacząć od zarażenia go jakimś paskudztwem?

– Chciałabym wybudzić moją żonę – przerwała Linda – póki jest czas.

– Za duże ryzyko, im więcej osób śpi, tym mniej będziemy mieć zarażonych.

– Chcę mieć kogoś przy sobie w tych trudnych chwilach – dodała lekarz.

– A ja chcę, by te trudne chwile minęły jak najszybciej, więc ograniczymy liczbę osób. Damy sobie z tym radę. Okręt to zamknięty system, podzielimy go na strefy, będziemy monitorować ludzi, dostosujemy harmonogramy i uruchomimy dodatkowe automaty sprzątające, by odkażały wszystkie powierzchnie.

– Nie używamy praktycznie klamek... Jest to jakieś pocieszenie – powiedziała po chwili patomorfolog. – Tylko mizerne, bo jeśli wirus przedostaje się drogą kropelkową, to przecież każde pomieszczenie będziemy musieli odcinać i oczyszczać za każdym, najmniejszym nawet podejrzeniem. Musicie wyznaczyć swoje ścieżki.

– Słucham? – spytał zdziwiony komandor. Ewa spojrzała to na Stern, to na Leniarta i dopiero po krótkiej chwili doszło do niej z pełną mocą, jak źle się sprawy mają.

– Byliśmy w hangarze... I na promenadach... I w apartamentach, w kabinie pilota i w łazienkach i w strefie gastronomicznej. Unikałam kontaktu z ludźmi, ale po drodze mogłam to rozsiewać... Boże.

– Ja raczej... Ja... Znaczy. – Komandor przez dłuższy czas spoglądał na rozłożone zwłoki udawanego pułkownika. – Miałem kontakt z niejakim Davidem Kloze i... I rozmawiałem z całym tłumem trójek, który już pewnie rozszedł się po okręcie.

Ewa schowała twarz w dłoniach, powstrzymując się od płaczu. Linda bez słowa zacisnęła wargi i zamknęła oczy.

– Niech po prostu Elizabeth przeanalizuje wszystkie obrazy z kamer, wyłapie ludzi, z którymi miałem kontakt, a potem ludzi, z którymi kontakt mieli ci następni. Potem utworzymy korytarz, którym przeprowadzimy wszystkich do oddziału zakaźnego.

– Nie mamy oddziału zakaźnego – stwierdziła krótko Stern.

– To kurwa zrób... Znaczy, zrobimy. Boże, znaczy, losie, dajcie mi myśleć – warknął Adam i chwycił się jedną drżącą dłonią za drugą, po czym przybliżył bransoletę. – Elizabeth, słyszałaś wszystko jak zawsze, wykonaj. Obudź mi od razu każdego wirusologa, lekarza, pielęgniarza, dosłownie każdego załoganta drugiej i trzeciej kategorii, który ma jakiegokolwiek wykształcenie lub doświadczenie związane z medycyną. Przekaż informacje do korpusu sanitarnego o najwyższym poziomie zaalarmowania, każ inżynierom z departamentu transportu i logistyki, by wydali cały sprzęt medyczny, jaki mamy na staniu.

– Proszę doprecyzować – odezwała się przyjemnym, niemalże irytująco słodkim głosem Elizabeth.

– Kurwa mać nie wiem – wycedził przez zęby Leniart. – Rękawiczki gumowe, lateksowe, maski filtrujące, wkłady do masek, skafandry przeciw-

chemiczne, rozkładane łóżka z poręczami, aparaturę pomiarową pracy organizmu, wszystko, co może się przydać.

– Nie możesz cały czas udawać, że wiesz, co robisz – powiedziała Ewa łamiącym się głosem, zbliżając się do Adama.

– To się nazywa zimna krew, odpowiedzialność i przywództwo.

– Nie, to zwykła kapitanoza i strach! Nie masz pojęcia, co się dzieje, narażasz nas na koniec, całkowity, globalny i definitywny! Pół wieku podróży zaprzepaszczone przez twój jeden, durny błąd.

– Poprowadzę nas – powiedział cicho Adam i zwrócił się do Stern. – A teraz obawiam się, że musimy się poddać kwarantannie jako pierwsi i zobaczyć, z czym przyjdzie nam się mierzyć.

Stern pokiwała poważnie głową i przetarła zawilgotniałą szybę skafandra, niestety kropelki osadzały się od wewnętrznej strony.

* * *

Co buduje społeczeństwo? Chęć polepszenia wspólnego bytu? Niemożliwość zdobycia wszystkich środków samemu? Potrzeba bycia blisko innych osób? Leniart sam nie mógł sobie odpowiedzieć na to pytanie przez wiele lat, aż w końcu zrozumiał. Podłączony do kilkunastokilogramowej, przytroczonej do jego pleców maszynerii podtrzymującej jego procesy życiowe zrozumiał, że społeczeństwa nie buduje chęć dążenia do czegoś, a chęć uniknięcia czegoś. Strach przed chaosem był jedynym powodem, dla którego ludzkość jeszcze istniała. A teraz na własne oczy mógł przekonać się, że zaiste był to uzasadniony i racjonalny lęk.

Rzucone krzesło uderzyło o plexiglas tarczy ochroniarza. Krzyki, wycia, szarpaniny stały się powszechniejsze od muzyki, która zresztą nieustannie leciała z głośników. Tam w dole, wśród promenad, stacji gastro-

nomicznych i ścieżek ogrodowych tłoczyły się tysiące zbudzonych trójek, siwych, rozwrzeszczanych plamek, próbujących przebić się przez giętką barierę czarnych, zakutych w mundury dwójek.

Komandor próbował łapać z trudem oddech, jednocześnie licząc i stale kalkulując, gdy w tle grały wesołe, ogłuszające brzęki zapętlonej muzyki. Ilu mamy ludzi? Pianino. Na jak długo starczy pożywienia, jeśli zbudzi się kolejne pięć tysięcy osób? Perkusja. Czy powinniśmy zacząć przerażać zmarłych na kompost? Klawisze. Kto jest niezastąpiony, a kogo koniecznie trzeba się pozbyć? Gitara elektryczna.

– Ile im dajesz czasu? – powiedział syntezytor mowy w bransolecie Leniarta. On sam wolał się nie odzywać, ledwo będąc w stanie chodzić, podczepiony do wentylującej aparatury i egzoszkieletu.

– Jeśli nic się nie zmieni? Trzy godziny. Jeśli zaczniemy strzelać? Trzy sekundy – powiedziała beznamiętnie porucznik Myszkina. – Ostrzegam, panie komandorze, jeszcze nie widziałam zamieszek, w których nic się nie zmieniło.

Komandor niezauważalnie kiwnął głową, a może zwyczajnie przyśnął na sekundę i się obudził. Jego zmętniały, półprzytomny wzrok śledził walki i rozruchy z góry, z wnętrza skafandra, zza podwójnej warstwy pancernego szkła i z otoczenia trzech tuzinów strażników, wyposażonych w ostrą broń, tarcze i pałki.

– Duży dystans dzieli władzę od ludzi – wypowiedział syntezytor Leniarta. – Powiedz, żeby wyznaczili kogoś do rozmów negocjacyjnych, a w zamian niech się rozejdą. Następnie wyprowadź najaktywniejszych buntowników, tylko cicho.

– Czy mam ich zaprowadzić do sali konferencyjnej... Czy do sali pokojowych obrad?

– Pokojowych obrad – odezwał się syntezator po długiej chwili przerwy.

Myszkin odwróciła się bez słowa i odchodząc, machnęła na pół tuzina ochroniarzy z jej komórki wydziałowej. Spędziła ostatnie kilkadziesiąt lat w uśpieniu, zapominając dawne życie, karierę w służbach. Destabilizacje rządów w krajach Trzeciego Świata na zlecenie prywatnych kontrahentów, uprowadzenia, zabójstwa, terroryzm. To wszystko było domeną starej Ziemi, na której zostało jej całe poprzednie Ja. Desmond miał być czyścicem, drogą wybielenia, a Kepler pełnoprawnym, zasłużonym rajem.

– Wiecznie komplikacje – mruknęła Myszkin, patrząc na liczny tłum.

– Pani porucznik? – Jeden z ochroniarzy nachylił się nad dowodzącą.

– Nic, trzymajcie boki, bo jeszcze będzie niewesoło – odpowiedziała porucznik, po czym podłączyła bransoletę do systemu nagłośnienia. Dźwięki muzyki urwały się nagle, a protestujący zareagowali niespokojnie na donośny głos. – Wszyscy zwróćcie uwagę tutaj, o tu, tu... pan wymachujący rurą też, tak do pana mówię, dzień dobry! Ja się nazywam porucznik Anna Myszkin i zostałam oficerem dowodzącym w departamencie niepokojów społecznych właśnie dla takich osób jak wy. Rozumiemy wasze zmartwienie, serdecznie dziękujemy za informacje zwrotne w formularzach i ankiety ewaluacyjne, to naprawdę pomaga załodze naszego okrętu lepiej funkcjonować...

Ktoś odłączył się od tłumy, jego twarz pokrywały czarne plamy, a usta przybierały siny odcień. Po czole pot ciurkał mu już pełnym strumieniem, aż w końcu padł na posadzkę za jedną z kolumn jadłodajni. Kilku zarażonych szarpało się z jakimś przypadkowym inżynierem, wyrwali mu

tablet, a następnie uciekli i ze stresu lub nie wiedząc, co zrobić z sukcesem, rozbili urządzenie o podłogę i wniknęli w grupę.

– Co byś zrobił na ich miejscu? – spytała Ewa, stając obok Leniarta. Oboje obserwowali z wyższego piętra, jak porucznik przemawia do wściekłego motłochu, który jeszcze kilka dni temu był świetnie zorganizowaną społecznością, prowadzącą ludzkość ku gwiazdom i nowemu życiu.

Adam zwrócił powoli wzrok na kapitan. Podczas gdy on ledwo żył, a jego twarz przypominała oleistą plamę, którą tylko cudem podtrzymywała przy życiu aparatura, to Ewa zdawała się całkiem zdrowa. Kapitan przeszła wirusa ledwie w tydzień i na żadnym etapie nie potrzebowała wspomagania aparaturą, jedynie odpoczynku i farmakoterapii. Cóż, to były te momenty, w których nie żałowała swojej dawnej decyzji, jeszcze na Ziemi.

– Gotowałbym się – odpowiedziała za Leniarta bransoleta. – Tylko wiesz, jak jest... To jeszcze nigdy niczego nie zmieniło. Dziś są wściekli, jutro im się znudzi. Przecież mieli takie wygodne życie, prawda?

– Ludzie umierali. To były najgorsze dwa tygodnie, jakie przeżyłam. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie... – zamilkła nagle, schylając się i łapiąc delikatnie za brzuch.

– Oddałem decyzje statystyce. Rozdzieliliśmy sprzęt, którym dysponowaliśmy.

– Mogliśmy oddać aparaturę jedynek...

– I wtedy złamalibyśmy regulamin i skończyli jako aktywa firmy Desmonda. Przestrzegam reguł, czy tak uważasz, czy nie.

– Za dwa tygodnie lądujemy, a jesteśmy ruchomą bombą biologiczną. Zresztą, możemy się jedynie domyślać, co się dzieje na Smoku, odkąd zamilkli. Myślisz, że też wylądują? Mogą ich nie wpuścić, zwłaszcza że pewnie na miejscu jest już cały ich rząd, a oni podejmą... No cóż, podejmą decyzje podobne do ciebie.

Leniart przymknął jedynie oczy i przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w odległe głosy. Ciężkie, roponośne oddechy. Oskrzela świszczące od wydzielin. Chrząszczące na skórze zgrubienia i plamy. Miał wrażenie, że wszystko gnije, a on na to pozwolił.

Nagle znowu zagrała muzyka, Myszkina zeszła z podestu, a ludzie zaczęli powoli się rozchodzić na boki. Kilka pozornie przypadkowych osób wyszło z tłumu na przód i stanęło obok dwójek, ubranych w czarne, wzmacniane skafandry.

– Tak działają ludzie, Ewa. Oburzają się na katastrofę, a potem idą dalej. Moja rada na uratowanie świata? Nie ratuj go. Znajdź sobie inny, tak jest prościej. Wszechświat jest wypełniony miliardami zdolnych do życia planet. Niedługo znajdziemy się na jednej z nich, a za sobą zostawiamy tylko śmieci. Pytasz mnie, co zrobię? Dokładnie to, zostawię śmieci za sobą i poprowadzę nas do nowego świata.

– Nawet nie wiesz, jak wielkie skarby zostawiamy za sobą – odpowiedziała Ewa, jej twarz już jakiś czas temu przestała wyrażać gniew. Po prostu patrzyła na decyzje Adama z bezsilnością, analizując fakty, wydając swój osąd i wiedząc, że nie może albo co gorsza, nie chce nic zrobić.

– Pół wieku temu byś się ze mną zgodziła – powiedział syntezator Leniarta, a on sam z tytanicznym wysiłkiem obrócił się i odszedł dwa kroki.

– Pół wieku temu popełniłam błąd.

– Kolejny śmieć pozostawiony na Ziemi – odpowiedział ochryple Leniart własnym głosem i odszedł, eskortowany przez czterech mężczyzn w skafandrach.

Ewa oparła się o barierkę, spojrzała ze smutkiem w dół zniszczonej promenady, gdzie zdezorientowane drony ogrodnicze próbowały podlewać puste dziury w ziemi i połamane drzewka ozdobne.

Któryś z protestujących odszedł znudzony, widząc, że wszystko uci-
chło i nie zanosilo się na żadną bijatykę. Wyrzebał ze środka kolorowej
paczki ostatni orzeszek w karmelu, wsypał sobie słodkie, sproszkowane
resztki do ust i rozejrzał się na boki. Najbliższy śmietnik był po drugiej
stronie tłumu, więc po prostu wrzucił opakowanie do plastikowej doniczki,
w której parę tygodni temu rósł skrzydłokwiat.

* * *

Stali tak, patrząc w pustkę wszechświata i nikt nie chciał się
odezwać. Było ich dwunastu, każdy reprezentował członków innego,
zbuntowanego departamentu. Inżynierowie, doktorzy, specjaliści. Wewnątrz
było ciepło, właściwie wygodnie, nie licząc ciągłych, ciężkich oddechów
zarażonych.

Samuel położył dłoń na grubej, dającej poczucie bezpieczeństwa
szybie o właściwościach wyświetlacza. Zazwyczaj takie wielkie, panora-
miczne przeszklenia pokazywały piękne, kolorowe mgławice i zapierające
dech w piersiach formacje. Teraz dech w piersiach zapierała im tylko zaraza
i otchłań.

– Panowie – odezwał się głos syntezy mowy, niemalże równo-
cześnie z sykiem otwieranej śluzy powietrznej. – Usiądźcie.

Leniart w obstawie dwóch zamaskowanych ochroniarzy siadł po
jednej stronie stołu, strażnicy stanęli za jego plecami. Przedstawiciele kolej-
no od tych najbardziej skorych do rozmowy do tych najoporniejszych siada-
li wzdłuż podłużnego, srebrnego stołu o miękkich krawędziach.

Jeden z doktorów, Grzesiński, nie wiedział co zrobić z dłońmi, jego
strój nie miał kieszeni, a palce nieustannie ześlizgiwały się z gładkich na-
kładek na stole. W pewnym momencie po prostu położył ręce na kolanach,

co wydawało mu się nieco infantylne i niegodne jego reprezentatywnej pozycji.

– Widzę, że nie wszyscy przyszli na spotkanie.

– Doktor Pernal nie mógł wstać na pokojowy protest, kilka godzin później przestał oddychać, nie mamy go gdzie pochować – odezwał się Brown, odpowiedzialny za utrzymanie pracy systemów sterowania reakcyjnego.

– To dobry pomysł, by zacząć od zdefiniowania sobie, czym są te pokojowe protesty i dlaczego w ich wyniku okręt jest regularnie niszczony – odpowiedział Leniart syntezatorem.

– Gdy próbowaliśmy zwrócić uwagę na problemy załogi, spotkaliśmy się z odmową – odparł Samuel, poprawiając okulary na nosie. Czarna gruda narośli, jaka pojawiła się na jego czole, nieustannie zsuwała mu oprawki.

– Czyli były pokojowe i już nie są, cieszę się, że to przyznajecie. Powiem wam, jak wygląda prawda, a wy mi powiecie, co poczuliście, dobrze? Prawda jest taka, że na tym okręcie na jedną aparaturę podtrzymującą pracę organizmu przypada osiemnastu potrzebujących. Na każde łóżko szpitalne przypada stu chorych, a na każde sto dostawionych przypada jeden asystent medyczny i ćwierć pielęgniarki. Tak... Licząc osoby, które przekwalifikowaliśmy na służby medyczne. W czasie protestów ktoś brutalnie złamał rękę doktorowi Birchowi. Wiecie, co robił doktor Birch przed wyruszeniem Desmonda w międzygwiazdną podróż? Nie wiecie pewnie, nie interesowało was to, jego oprawców pewnie też nie. Otóż doktor Birch był jednym ze światowej sławy kardiologów. Na tym okręcie leci cała jego zahibernowana rodzina, której Birch jest jedynym żywicielem. Wasze zasrane protesty odbierają nam lekarzy.

– To pokojowe rozmowy czy wywiadówka w szkole? – spytał Samuel.

– To wezwanie na dywanik – odparł groźnie Leniart, choć jego syntezator brzmiał ciągle równie bezemocjonalnie. Jedyne pokryta czarnymi plamami, spocona twarz wyrażała nieustanną walkę z własnym ciałem i sumieniem. – Wymagam od was natychmiastowego wypełnienia zakontraktowanych zadań i...

– Mamy prawo wyrazić swoje żądania – krzyknęła doktor Red, wstając ze swojego krzesła. Ochroniarze poruszyli się niespokojnie.

– Nie będę tolerował takiego przebiegu... – odezwał się Brown.

– Może znajdziemy wspólne... – próbował oponować Sokołow z departamentu konserwacji i funkcjonalności.

Samuel zakaszłał, poczuł nierówność i spojrzął pod siebie. Jego krzesło było kiepsko przytwierdzone do podłogi, a śrubki luźne. Zupełnie tak, jakby ktoś się kompletnie nie przyłożył do pracy i to kilka razy z rzędu. Obok odbijały się świeże odciski twardych, gumowych podeszew.

– Nie będę się z wami przekrzykiwał – zadudnił z wielką mocą syntezator Leniarta. Dopiero po chwili maszyna odezwała się z normalną głośnością. – Bo to kolejne zawody, z których nie wyjdziecie obronną ręką.

– Chcemy, by w negocjacjach uczestniczył reprezentant jedynek – odezwał się Samuel. – To nasze podstawowe żądanie.

– Na to się nie zgodzę, bo nie muszę. Jestem najwyższym rangą oficerem na tym okręcie i aktualnie trwa moja warta, wyznaczona aż do przylotu na Kepler 9d.

– Aktualnie – podkreślił Samuel. – To się zmieni w momencie, w którym dowolna jedynka wstanie i zrozumie, do jakiej ruiny doprowadziłeś ten okręt.

Komandor zacisnął pięści. Jego pokryte czerniakami ręce zadrżały, a blade żyły momentalnie nabrzmiały i zaczęły wypełzać bliżej powierzchni skóry.

– Oddałem całe życie temu okrętowi. Nie bylibyście w stanie zrobić tego, co ja. Na zewnątrz jest otchłań, w której nie ma miejsca na jeden ludzki oddech. Całe życie to walka z ciśnieniem, które napiera i próbuje nas rozerwać, wysać życie, ugotować na zimno i zadusić. A wy myślicie, że poradzicie sobie z tym lepiej niż ja przez ostatnie pół wieku.

– Sprowadziłeś na nas zagładę, spróbowałeś ugryźć więcej, niż mogłeś. Komu chciałeś zaimponować? Jedynkom? Sobie? Czy może byłej kochance?

– Panowie, chyba faktycznie... – odezwał się Brown, wznosząc dłoń.

– Zacznijmy od zera – spróbowała dodać Red.

– Nie chciałem, by do tego doszło – odpowiedział ze smutkiem Leniart, siłąc się na własny, naturalny głos. Jego grdyka sunęła powoli w dół i nagle podskakiwała w górę, jakby zaraz komandor miał się rozplakać albo rozwrzeszczeć. – Wygraliście. Zbudzę jedynki, a wy będziecie mogli pokazać, jak się walczy z bezlitosną pustką. Mam nadzieję, że pójdzie wam lepiej ode mnie.

Leniart wstał niezwykle powoli i wraz z obstawą ruszył do komory dekontaminacyjnej, ustawionej za śluzą. Napylenie chemiczne wypełniło komorę srebrną mgiełką, w której na moment zniknęły trzy sylwetki. Po krótkiej chwili pomieszczenie przechodnie było puste, a zadowoleni z siebie reprezentanci spojrzeli po sobie.

Samuel chwycił się swojego krzesła i ponownie przechylił w lewo i prawo, skrzypiąc przy tym niemiłosiernie. Skrzypienie, dziwny dźwięk, obcy, dawno niesłyszany na podtrzymującym sztuczną grawitację

Desmondzie. Nagle inżynier ledwo zauważalnie rozszerzył powieki, uchylił usta i wziął głęboki oddech. Obejrzał się po reszcie zebranych i z właściwą sobie obojętnością i profesjonalizmem spytał:

– I z czego się cieszycie?

Nagły huk rozerwał bębni słuchowe delegatów. Meble oderwały się od podłogi, zabierając ze sobą ciała siedzących pod szybą, która nagle zniknęła. Lecące w próżnię sylwetki pokryły się iskrzącymi drobinami, rozlewającymi się po przerażonych, rozwartych w niemym krzyku twarzach. Czarne i białe plamy zawiązały się w kolorowe mozaiki, znaczące oblicza wyrzuconych w przestrzeń. Grzesiński spróbował chwycić się krawędzi stołu, lecz jego palce nie znalazły oparcia i zaraz dołączył do galerii złodowaciących rzeźb emisariuszy na zewnątrz.

Po czasie szyba znów wsunęła się na swoje miejsce, wentylacja wtłoczyła powietrze do sali konferencyjnej, a śluza otworzyła się, wpuszczając ekipę sprzątającą z nowym zestawem krzesel.

* * *

W końcu zwolniło się pierwsze łóżko w szpitalu. Odciążony harmonogram okrętu wrócił na dawne tory i jakby złapał drugi oddech. Liczba uzdrowionych zaczęła przekraczać tę zarażonych, a po czasie obie zbliżyły się do zera. Zapasowe roboty ponownie ruszyły wzdłuż rozświetlonych, białych promenad, zmywając podłogi i ratując załączki ostatnich drzew. Przebudzeni, niczym kopie uszkodzonych maszyn, wstawali z komór hibernacyjnych, by zająć miejsce tych, którzy nie przetrwali. Nawet z pokładu Smoka ponownie nadano zwyczajowe komunikaty, zupełnie tak, jakby nic się nie zmieniło. Oba okręty wymieniły się pozdrowieniami, nie było nic do dodania, w końcu to nie pierwszy raz, gdy trzeba było nadstawić drugi poli-

czek. Nie było innego wyjścia, tylko wrócić do tego, co wcześniej było normalnością.

– Komandorze – mruknął Bociek, mijając przełożonego. Twarze obu nosiły znamiona niknących przebarwień i chropowatej tekstury.

– Jakie plany na dziś? – spytał Leniart.

Bociek wzruszył ramionami, lekko speszonego wzrokiem spojrzął na komandora, na podłogę, znów na komandora i na ścianę korytarza. Bez słowa ruszył dalej, drapiąc się po nabrzmiałej, czerwonej szyi. Na jego potylicy widać było szytą bliznę.

Komandor pierwszy raz odetchnął z ulgą, gdy zobaczył przerzedzone grupki i pojedyncze osoby na spacerach między swoimi kajutami a miejscami pracy. Spora część osób faktycznie wybrała dobrowolną kwarantannę w hibernacji, korzystając z opcji urlopu do końca podróży. Co najważniejsze rozruchy z czasem zmieniły się w incydenty, a incydenty w pomruki niezadowolenia, aż w końcu jedynie niepokoje i nudę. Czyli wszystko poszło dokładnie odwrotnym torem, niż się zaczęło. W końcu nikt nie chciał tak naprawdę niczego zmieniać, ot po prostu chcieli pokazać, że woleliby, aby było lepiej. To zrozumiałe, każdy by wołał, ale nikt nie chciał nic zrobić, by do tego doprowadzić. Może i ludzie umierali przez zarazę, ale przecież szkoda było tracić pracę, by się sprzeciwić takiemu stanowi rzeczy. Wystarczyło się pozbyć tych, którzy najgłośniejsz krzyczeli, a z czasem wszystko ucichło samo. Nie trzeba było nawet wyciągać konsekwencji, bo i po co? Wszyscy zapomną jak zawsze. Nic się nie może zmienić na pokładzie Desmonda, tak go zbudowano.

– Dzień dobry Elizabeth, dzień dobry Ewa – powiedział Leniart, wchodząc do kabiny pilota. Miał wrażenie, że czegoś jednak brakowało.

– Dzień dobry, komandorze – odezwała się Elizabeth przymilnym tonem, płynącym z wnętrza chłodnej maszyny.

– Gdzie jest Ewa? – spytał komandor, patrząc na pusty fotel.

– Kapitan znajduje się w sekcji chłodniczej B, rząd drugi, kolumna dwunasta.

– Zaraz... Czyli leży zahibernowana?

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Jak to nie możesz? Możesz... Musisz! Po prostu śpi? Od jak dawna tam jest? No przecież się nie poddała eutanazji, tak? Nie tuż przed metą.

– Informacje na temat wybranego programu stanowią treści poufne. Obawiam się, że nie posiada pan odpowiednich uprawnień, komandorze.

– Jestem oficerem głównodowodzącym i mam prawo...

– Poziom uprawnień odnośnie do użytkowania osobistych komór hibernacyjnych jest definiowany wyłącznie przez samego użytkownika.

– Czyli... Ona nie chciała, żebym wiedział? – spytał się Adam, opierając o fotel. – To było pytanie do ciebie!

– Nie rozumiem pytania – odpowiedziała pozorowana inteligencja.

– Czy ona celowo wybrała, żebym nie mógł wiedzieć, co się z nią stało?

– Brak kompletnych danych na temat relacji interpersonalnych między poszczególnymi członkami...

– Stul mordę...

– Załoga okrętu...

– Mordę stul kurwa! – krzyknął Leniart i padł na fotel, kaszłąc ciężko. Jego twarz zaczerwieniła się natychmiastowo, a resztki czarnych plam pokrył pot. Przez moment wierzgał od łokietnika do łokietnika, bijąc głową w oparcie, aż w końcu wbił wzrok w tak dobrze znajomą pustkę za szybą kokpitu.

Coś znowu wydawało się inne... Zdecydowanie odbiegające od perfekcyjnie poznanej i stabilnej normy. Wszechświat zdawał się upstrzony

białymi plamkami gwiazd, małych i dużych, niemalże perfekcyjnie nieruchomych, choć ubogo wymalowanych. Zwykle było ich więcej i w znacznie bardziej finezyjnych kombinacjach.

– Elizabeth, wyłącz wyświetlacz.

– Wyświetlacz wyłączony.

Leniart odczekał jeszcze chwilę i zmrużył oczy, oglądając pejzaż gwiazd.

– Powiedziałem, żebyś wyłączyła wyświetlacz. Zostaw normalną szybę, chcę zobaczyć, co jest poza okrętem.

– To jest tryb przeźroczysty, komandorze.

Pomieszczenie wydawało z siebie cichutki syk. Gdzieś w oddali słyhać było stłumione, ledwie możliwe do odebrania setki głosów, może nawet tysiące. Wszystko przypominało moment wylotu z przekłętej Ziemi.

– Co to za punkt na horyzoncie – spytał drżącym głosem Leniart.

– To planeta Kepler 9d, komandorze Leniart.

Delikatna, błyszcząca plamka zdawała się leciutko falować w przestrzeni zimnej, czarnej pustki. Przybliżała się, kierując bezpośrednio na kurs kolizyjny z okrętem, który zdecydowanie zwalniał. Desmond powoli wytracał prędkość, pokonując ledwie ułamek zwyczajowego dystansu, hamował.

Leniart spojrział po wskaźnikach. Wydawało mu się, że znał je na pamięć i nigdy nie drgną – jak naklejki, przyklejone na zabawkowy okręt, dające niby wrażenie realnych odczytów. Silniki przybrały inny zwrot i faktycznie okręt z każdą chwilą zwalniał i skręcał pod coraz wyraźniejszym kątem, gotowy do oblecenia rosnącej plamy bieli i gładkiego podejścia na orbitę.

– Zmiana harmonogramu. Wprowadzam plan wybudzania.

– Elizabeth... – odezwał się cicho Adam i zamilkł na moment. – Kogo wybudzasz?

– Wszystkich – odparła beznamiętnie inteligencja pokładowa. – Twoja zmiana dobiegła końca, komandorze. Masz nową wiadomość. Masz dwie... osiem... trzydzieści... pięćdziesiąt... Połączenie przychodzące... Połączenie przychodzące.

Siwa kulka zachmurzonej planety zniknęła, a panoramiczna szyba okrętu oślepiła Leniarta setkami okien komunikatorów. Bransoleta na nadgarstku nieustannie wibrowała i wyśpiewywała terkotliwy komunikat dzwonka.

– Muszę... Muszę... – wysapał Leniart, ściągnął z nadgarstka bransoletę i rzucił nią w kąt kabiny.

Drzwi uchylły się powoli, wydawały się przerażająco wielkie i ciężkie. Biegąc korytarzem, komandor mijał kolejne tysiące wybudzających się ze śpiączki osób. Niemal wszyscy byli dwójkami i trójkami, wpatrującymi się w przeszklony sufit Desmonda. Pierwszy raz od lat widzieli prawdziwe, gwieździste niebo. Atmosfera nadziei i powrotu do normalności zawitała na wszystkie piętra.

Leniart rzucił się na oślep między kilka wiwatujących dwójek, które jakby nie rozpoznały go i zmierzyły złym spojrzeniem. Na ekranach zaczęła rozbrzmiewać przygotowana końcowa instrukcja. Ostatnia wiadomość prezesa Desmonda, zaplanowana pół wieku temu na ten właśnie moment. Jednakże w tamtym podniosłym momencie Adam jedynie biegł, uciekał.

Drzwi do odremontowanego hangaru otworzyły się powoli. Jeden z ochroniarzy odprowadził zdziwionym wzrokiem Leniarta, który biegał w kółko zdezorientowany, aż w końcu zapukał do głównej sterowni.

– Komandor? – odezwał się zdziwiony technik, któremu przypadła ostatnia zmiana w historii okrętu.

– Misja zwiadowcza, otworzysz służę, biorę myśliwiec.

– Ja tak nie mogę bez żadnego trybu, nie po ostatnim incydencie z Chińczykami, będzie musiał komandor złożyć...

Leniart wyjął paralizator i wymierzył w brzuch technika. Ten spojrział na oficera złękniiony, w jego głowie musiały brzmieć dziesiątki pytań. Pokiwał głową w przerażeniu i wznosił ręce.

– Po prostu wykonuj rozkazy, wszystko będzie dobrze, rozumiesz? Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi – mówił Adam, choć coraz ciszej i mniej składnie, jakby nie do rozmówcy, a do siebie.

– Otwieram służę – powiedział bardzo powoli operator i zaczął ostrożnie jeździć palcem po ekranie dotykowym komputera.

Strach paraliżował bardziej niż przydziałowy oszałamiacz drżący w dłoniach komandora. Nakazywał rwać się, krzyczeć, strzelać, bić, wierzgać – cokolwiek. A mimo to wewnętrzna służa hangaru zaczęła się podnosić tuż obok niewielkiego myśliwca, przypominającego srebrną łyżeczkę na kołach.

– Tak – wykrztusił jedynie komandor, obrócił się i z trudem powstrzymał się od biegu w kierunku pojazdu.

Marsz pod okiem technika i nielicznych, krzątających się na dole konserwatorów wydawał się prawdziwą katorgą. Dreszcze targały całym, ledwie ozdrowiałym, ciałem Leniarta, który czuł się zarazem przerażony i upokorzony. Przez moment chciał powiedzieć coś, chociażby do samego siebie w ramach bystrej myśli, ale milczał. Bez słowa otworzył właz myśliwca, usadowił się wewnątrz i zaczął powoli wyprowadzać maszynę do przedsiionka wylotowego.

Niewielki kokpit dawał poczucie klaustrofobicznej bezsilności, dlatego komandor z całym zapalem chwycił się dowolnego elementu sterującego, nad którym miał kontrolę. W pewnym momencie włączył i wyłączył wewnętrzne oświetlenie kilka razy, by móc cokolwiek zrobić z wolnymi

rękoma. Aż w końcu drzwi hangaru zatrzasnęły się za nim i zapanował czerwony półmrok.

Huragan lęków zaczął rzucać umysłem Adama, rozglądającego się po pustym, ciemnym pomieszczeniu. Był sam, zdany na łaskę i niełaskę losu. Co, jeśli technik miałby nie otworzyć drzwi? Zostawiłby go na zawsze, czy po prostu poszedł po ochronę... Jego ochronę! To przecież byli jeszcze godzinę temu jego najwierniejsi ludzie. A teraz Kepler 9d stał się ich nowym panem. Nagle zobaczyli kawałek suchego łądu i trwający od pół wieku porządek został zavalony.

Zewnętrzne drzwi zaczęły się powoli uchylać, a spod nich do kabiny Leniarta zaczęła zaglądać ciemna, pochmurna kula planety, która teraz miała gargantuiczny rozmiar. Adam czekał na ten moment tyle lat, ale... Nic się nie stało. To nie była dziewicza, błękitna kuleczka dawnej Ziemi. To była po prostu planeta, jakaś tam planeta o dziwnej, zawierającej cyfry i litery nazwie.

Myśliwiec gładko wypłynął w przestrzeń, chowając podwozie. Przez krótki moment bezwładność objęła panowanie nad Adamem, przypiętym do fotela. Nigdy nie był tak blisko przestrzeni kosmicznej, oddzielony jedynie cienkim szkłem ekranowym kabiny. Z trudem wziął oddech, zamknął oczy i przyśpieszył.

Wielki glob szybko zmienił się w ścianę chmur obejmujących pół widnokregu i okręt zanurkował między kłęby siwych, szarych, grafitowych, granatowych, aż w końcu czarnych obłoków. Pojazd nabrał temperatury, kokpit zatrząsł się z mocą. Adam czuł, jakby przeciążenie dosłownie kopnęło go w twarz.

Wszystko zasłoniły kolorowe plamy i błędy organizmu, niemogącego zrozumieć, co się dzieje i gdzie się znajduje. Był jedynie umysł mały

naczelnej, zamkniętej w rozpędzonej, czerwonej puszcze, lecącej z burzowego nieba prosto w ziemię.

W pewnym momencie zaszumiały silniki, wszystko zwolniło, uspokoiło się i zaczęło mieć sens, przynajmniej jakiś powierzchniowy, pozorny.

Szyba zaparowała, myśliwiec wydawał się dosłownie dymić, a na zewnątrz gęstniała z każdą chwilą siwa mgiełka. Leniart przełknął ciężko ślinę, wziął głęboki oddech i skupił się na tym, na czym się znał. Sprawnie zdemontował spod siedzenia aparaturę dotleniającą, włożył hełm, zapiął uszczelniające łączenia i wziął na próbę kolejny, tym razem płytki, oddech. Znowu oddychał przez rurę, lecz tym razem powietrze było jakieś bardziej sterylne, jałowe, wręcz parzące w język. Przytroczył butlę z mieszką tlenową do pleców i z trudem podniósł ekrany służące za zadaszenie myśliwca.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z głupoty i brawury własnych poczynań. Tak, dosłownie w momencie, w którym przeważał ciało przez krawędź kokpitu i zeskoczył z dwóch metrów na pierwszy prawdziwy grunt od pół wieku. Nie powiadomił nikogo o swoim odlocie, zostawił za sobą same spalone mosty i wylądował w przypadkowym miejscu, zamiast w okolicy którejkolwiek z kolonii. Jednakże, gdy tylko jego palce, obleczone w rękawiczki, zagarnęły nieco stwardniałej, pylistej ziemi i roztarły ją delikatnie, niemalże pieszczotliwie, zrozumiał w pełni, że najgorsze właśnie nadeszło.

– Elizabeth, podaj skład gleby – powiedział z trudem i podniósł do ust rękaw. – No tak, przecież... Jasny chuj...

Leniart spróbował złapać się za głowę, lecz jego palce odbiły się jedynie od hełmofonu z kopułą z utwardzanego szkła. Bransoletę z całą zebraną wiedzą, łączem, komunikatorami i pozorowaną inteligencją po prostu rzucił w kąt jeszcze na Desmondzie. Stał sam na środku obcej planety i nikt

nie mógł mu wyjaśnić, dlaczego tym, co oglądał, był pejzaż złożony z grafitowego pyłu i ołowianych chmur na musztardowym niebie.

– Jest martwa – szepnął sam do siebie, stawiając kolejne kroki na siwej równinie.

Niedowierzenie nie ustępowało, nawet gdy roztrącał butami lotny kurz, stawiając zapewne pierwsze ludzkie kroki w tym miejscu. Nie potrzebował aparatury pomiarowej, by wiedzieć, że ta ziemia nie była w stanie podtrzymać żadnego życia. Rośliny, owady, jakiegokolwiek zwierzęta – nic nie miało szans przetrwać na tym sprasowanym bezdrożu cementowego pyłu, który wdzierał się we wszystkie szczeliny i otwory.

W końcu opadł na kolana, na tyle daleko, że myśliwiec za nim był jedynie kropką. Dookoła świszczał wiatr, a on po prostu bił pięścią w ziemię, rycząc wściekle. Nieczułe szkło wygłuszało jego wszystkie słowa tak, że był jedynie obleczoną w materiał figurką, klęczącą w jałowym piachu. Aż w końcu jego dłonie natrafiły na coś twardego i kanciastego. W pierwszym odruchu Leniart zaczął rozgarniać grunt na boki, myśląc, że to jakiś kamień, na podstawie którego mógłby chociaż domyślić się czegoś o lokalnej glebie. To, co znalazł, było znacznie ciekawsze i bardziej zaskakujące.

Po chwili kopania wyciągnął z osypującego się dołka niewielką bryłę, złożoną z jakiegoś twardego materiału o śliskiej strukturze i sporej liczbie wypustek. Twardy, lekko połyskliwy przedmiot wydawał się po prostu wyoblonym przez lata erozji śmieciem, jednakże śmieciem na pewno sztucznego pochodzenia. Artefakt w ziemi leżał tuż obok następnego, a dalej był kolejny. Przez moment myślał o tym, że może faktycznie są to ślady cywilizacji i to cywilizacji ludzi. Może były kolonie nie przetrwały próby czasu lub zrobiły z tego miejsca wysypisko. Istniała szansa, że gdzieś tam jeszcze dotarły poprzednie konwoje i zgodnie z planem ujarzmiły

niegościnną planetę. Leniart opętańczo rozwierał kolejne piaskowe czeluście, odnajdując bryły różnego kształtu, z których żadna nie nosiła specyficznych znamion, pozwalających powiedzieć o niej cokolwiek więcej niż:

– Śmieć. Wszędzie śmieci. – Leniart pociągnął nosem kilka razy i w końcu zawył dojmującym, urywanym skowytym. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem płakał, ale to nie było istotne. Nie było nikogo wokół niego, jak i zapewne na całej planecie. Łkał, czerwieniąc się, zawodząc, pochrząkując i bełkocząc, aż z rozpaczy po prostu zdjął z siebie hełm i krzyknął w puste niebo. – Tu nic nie ma!

Komandor złapał się za gardło, wziął jeden oddech, drugi, trzeci. Każda próba była udana, choć niezwykle trudna. Powietrze śmierdziało siarką, ciężkimi metalami i dymem, ale mógł oddychać. Na języku osadzał się paskudny smak, jakby przyłożył głowę do fabrycznego komina, z tą różnicą, że było to powietrze zbliżone do pierwszych odczytów sprzed pół wieku. Więc na Keplerze nadal dało się oddychać, lecz co to było za oddychanie? Dławiąca, zgrzytająca między zębami, niewidzialna szmata utkana z kurzu i odpadów.

Adam siadł na środku niczego, patrząc w pustkę. Był tylko on i rzucony kilka metrów dalej hełm. Każdy oddech groził uduszeniem, a mimo to w ostatniej chwili ciało zdawało się wygrywać batalię i z nagłym uderzeniem dreszczy zaciągać dość powietrza, by podtrzymać funkcjonowanie. I to by było na tyle ze zwycięstw. Wiedział, że na nic więcej nie może liczyć i nic więcej nie ma. Cokolwiek, czego się spodziewał, było fałszem. Ostatni list w butelce był listem pozostawionym przez okręt płynący w przepaść. Nie mogli lub nie chcieli ostrzec pozostałych. Może to nie miało znaczenia? Może to było prawo łaski? Nie informować pozostałych okrętów o tym, że Kepler 9d to ściernisko. W końcu życie na okręcie na pewno jawiło się jako coś lepszego niż... Nic.

– Zostawili nas na śmierć. Odlecieli bez nas. Kimkolwiek byli Oni, byli tu przed nami i pozostawili... To. Wysypisko śmieci. Betonową geoidę, otoczoną chmurami trucizny. Zostawili śmieci za sobą i po prostu ruszyli dalej lub nigdy nie opuścili tego miejsca i zmienili je we własny cmentarz. Szliśmy na śmierć przez pięćdziesiąt lat od jednej mogiły do następnej. A teraz my wszyscy jesteśmy tutaj. – Leniart uśmiechnął się do siebie, mrużąc szybko załzawionymi, pełnymi kurzu powiekami. Jego dłonie nieustannie napierały na ciemny pył, jakby próbując zgnieść go i wydobyć ze środka miękką, pachnącą ziemię. – Nasz mały, śmieszny marsz solarny... Nie do światła, w ogień.

Lista patronów

To dzięki Wam tworzę

Jan Lutze	Jędrrek Wawrzeń
Paul Troffke	Marzena Sieprawska
Rafał Krzyżanowski	Kamila Ostrowska
Michał Misztal	Łukasz Kulwicki
Kamil Szyłkiewicz	Mikołaj Żelewski
Wirginia Jankowska	Julia Osiecka
Wiktor Ordon	Grzegorz Dombrowski
Marcin Ostoja-Hełczyński	Barbara Konopka
Barry Lidders	Weronika Jaśkiewicz
Michał Nowak	Jakub Pierzak
Adam Orlicki	Jakub Rogala
Anna Myszkier	Jan Guzik
Sebastian Wójcik	Cyprian Perepeczo
Katarzyna Gabrysz	Michał Lipski
Rafał Rogoziński	Mateusz Wyszyński
Janek Buszkiewicz	Jacek Kloss
Kacper Paczyński	Marcin Gepner
Michał Nowicki	Karol Szewczyk
Monika Zajączkowska	Kate Turwon
Dawid Furmanek	Damian Bociek
Paweł Gągała	Ania Jędrowiak
Sebastian Pasterniak	Ada Benio
Maciek Pernal	Filip Siuda
Kamil Maciasz	Paulina Chodyra

Dawid Klose
Dominik Kucharski
Kamil Sobczyk
Mikołaj Stężycki-
Wojtasiak
Jakub Sawicki
Przemek Piotrowski
Cezary Kubiński
Karol Kamiński
Mikołaj Trawiński
Anna Dubec
Krzysztof Kwiatek
Julia Świerkot
Wojciech Dąbek
Miłosz Dunikowski
Krzysztof Negacz
Julia Podgórska
Kacper Jaśkiewicz
Edmund Kukowski
Damian Kurek
Michał Orzołek

Tomek Kisiel
Jakub Hukiewicz
Paweł Etmański
Maciej Knap
Mikołaj Roszczyk
Stomolko Connor
Kazno De
Łukasz Strzyżewski
Dorota Dzikowska
Kamil Adamczak
Daria Sawicka
Izabela Kajmowicz
Marta Niedźwiecka
Maciej Chrobok
Darek Mytych
Piotr Walasik
Janek Kozak
Kacper Oleszak
Tymoteusz Tuttas
Bartosz Chamera
Tymoteusz Zięciak